ROK III. Nr. 15 (115). Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 12 kwietnia 1931 r.

7 DNI

CENA 50 GR

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



WIOSNA IDZIE... fot. Photoplat



Bracia Laemmle z Universalu.

MAURYCY DEKOBRA.

W KRÓLESTWIE GWIAZD

W świecie magnaterji filmowej



Dyktator dźwiękowca, Will Hays.

Nikt zazwyczaj nie wypowiada zdania bezstronnego o Hollywoodzie. Jedni zachowują dyskrecję z obawy przed magnatami filmu, z którymi liczą się, czy ze względu na ewentualne objęcie roli, czy też wsunięcie scenarjusza lub t. p. *business'u*. Zasypują ich w razie czego komplementami, lecz naodwrót, gotowi są zmieszać z błotem, jeśli już doznali rozczarowań. Innym znów przyświeca cel najzupełniej odmienny, gdyż Hollywood uważają za raj na ziemi, lub otchłań piekielną, w zależności od tego, jak z nimi postąpiła czarująca *star*, naukochańszy objekt serca i myśli.

Mnie osobiście — nic nie wiąże z filmem, mogę więc opisać Hollywood całkiem objektywnie — bez zbytniego entuzjazmu, ani bez żółci. Swobodnie mogę się przejechać po dziesiątku magnatów, którzy władzę niepodzielną dzierżą w swem ręku nad filmem — sztucznym zaiste światkiem.

Dziesiątek ludzi... Hollywood jest istotnie domeną kilku wszechpotężnych satrapów, którzy wydają na produkcję filmu nie mniej 700 miljonów franków, wykręcając za tę sumę około 700 obrazów rocznie. Za te miljony władni są w równej mierze wpływać na nastroje — kto wie, czy nie miljarda widzów z całego świata, śmiesząc ich do rozpuku lub wyciskając potoki łez, lub... żółci. W najgorszym wypadku, gdy „sknocą" obraz, tryśnie publiczność jadem satyry, okraszonej w Europie namiętnem gwizdaniem.

Jeśli mowa o gwizdaniu, to muszę zauważyć, że w Ameryce publiczność rzadko ucieka się do tej formy protestu, gdyż brawo bije niezależnie od tego, czy patrzy na arcydzieło, czy też na najgorszy kicz. Widz amerykański nigdy nie zażąda zwrotu pieniędzy za bilet, a probierzem wszelkiej wartości, nawet w dziedzinie artystycznej, jest... kasa.

Jednym z największych magnatów jest Alfred Zukor, który wespół z Jessym Lasky kieruje Paramountem. L. B. Mayer, trybun i przyszły działacz polityczny, jest panem w Metro Goldwyn Mayer; prawą ręką jego jest młody Irving Thalberg, o którym mówią, że ma lat trzydzieści, mnóstwo pomysłów i dziecko, zrodzone z uroczą Normą Shaerer. Za tymi idą bracia Warner, na których ciąży odpowiedzialność za dźwiękowiec. Carl Laemmle — senjor, wraz z 22-letnim junjorem Carlem, rządzą firmą Universal Pictures; Joe Schenk i Sam Goldwyn piastują godność prokonsulów w United Artists, żywiąc głęboką pogardę dla wszystkiego, co tylko trąci pochodzeniem z Europy; nowy magnat, Le Baron, zasiada na tronie R. K. O. i wreszcie Winnie Sheehan (o dziwo, nie żyd, a irlandczyk), jest głową Foxfilmu.

Magnaci ci są panami życia i śmierci gwiazd obojga płci, od których zależy zarówno sława i bajkowe zarobki artystów, jak również zepchnięcie ich w otchłań zapomnienia. Półbogami



Filmowcy, dziennikarze i aktorzy: Samuel Goldwyn, W. L. Locke, Sir Ch. Igglesdem, Charlie Chaplin, Collins i A. Pitt Robbins.

u ich boku są realizatorzy z Wielkim Lamą na czele, w osobie prezesa Akademji Filmu, Cecila B. de Mille'a. Z szeregu wybitnych talentów wyróżniają się King Vidor, G. Fitzmaurice, Eric von Stroheim, Milestones i Fred Niblo. Władza ich jest iście dyktatorska, lecz mogą ją utracić, gdy firmę narażą na stratę, a bogów z Olimpu filmowego na ruinę. Mają prawo nawet produkowania filmów zgoła miernych, byleby przynosiły 500 proc. zysku.

* * *

Siedzieliśmy w zacisznem bungalow uroczej Elsie Janies, bawiąc się lodami ananasowemi i miłą rozmową. Ruth Chatterton, urocza blondynka, bujała gdzieś w obłokach, marząc o niedoścignionem szczęściu. Ramon Novarro, piękny, jak młody bóg, wykładał zasady walki grecko-rzymskiej — wspomnienie z Ben Hura — próbując położyć nelsonem Elsie Jannis. Louis Wilson i Lily Damita sędziowali.

— Panie de Mille — zwróciłem się do Wielkiego Lamy — proszę mi powiedzieć, jak można wydać osiemdziesiąt miljonów na takie *Hell's Angels* (Aniołowie z Piekieł), pięćdziesiąt miljonów na *Króla jazzu* lub trzydzieści miljonów na *Wheepee?* Wyobrażam sobie, ile marnuje się w tem wszystkiem pieniędzy.

Cecil westchnął głęboko. A na to jeden z młodych aktorów:

— Ma pan rację. Lecz Augurowie nie odpowiedzą panu na to. Szczerze mówiąc, rzecz przedstawia się w ten sposób, iż za wiele pozycyj składa się na wykonanie takiego superfilmu. A więc przedewszystkiem scenarjusz. Za nowy pomysł można posunąć się do pół miljona, jeśli zaś jest to przeróbka ze szlagieru z New Yorku, można wyłożyć i dwa i trzy miljony. Następną pozycję stanowi honorarjum realizatora — do półtora miljona. W samej rzeczy otrzymuje on zaledwie połowę tej sumy za pracę — drugą połowę zaś za nic, ot, poprostu za to, że czeka na chwilę rozpoczęcia kręcenia, otrzymując po sto tysięcy tygodniowo. Gwiazda pobiera w ten sam sposób dwa miljony. Dodajmy do tego różne koszty ogólne, jak pensja prezesa — dwanaście miljonów rocznie, wiceprezesa — do pięciu, różnych szefów, scenarzystów, specjalistów od napisów, od tłomaczeń, transkrypcyj, a wreszcie pensję drugiego *supervisora*, który, będąc krewniakiem prezesa, nic nie umie, a wszystkim włazi w drogę i pobiera 25 tys. tygodniowo; ponadto wchodzą jeszcze procenty, amortyzacja, prąd, czas zmarnowany, odtworzenie takiej świątyni w Luksorze — obciętej notabene przy zmontowaniu obrazu (trzy miljony, jak jeden grosz!), fantazje gwiazdy, która bądź zapomniała kazać się obudzić, bądź też przerywa pracę, gdyż właśnie pokłóciła się z aspirującym do jej wdzięków wiceprezesem; nie zapomnijmy i o „bykach", które gwiazda strzela ze zdenerwowania — a wnet dojdziemy do bajecznych sum, do których dodać jeszcze należy koszty poza studjem, jak utrzymanie biur w New Yorku, centrali na Europę i oddziałów, propagandy i t. d., i t. d.

* * *

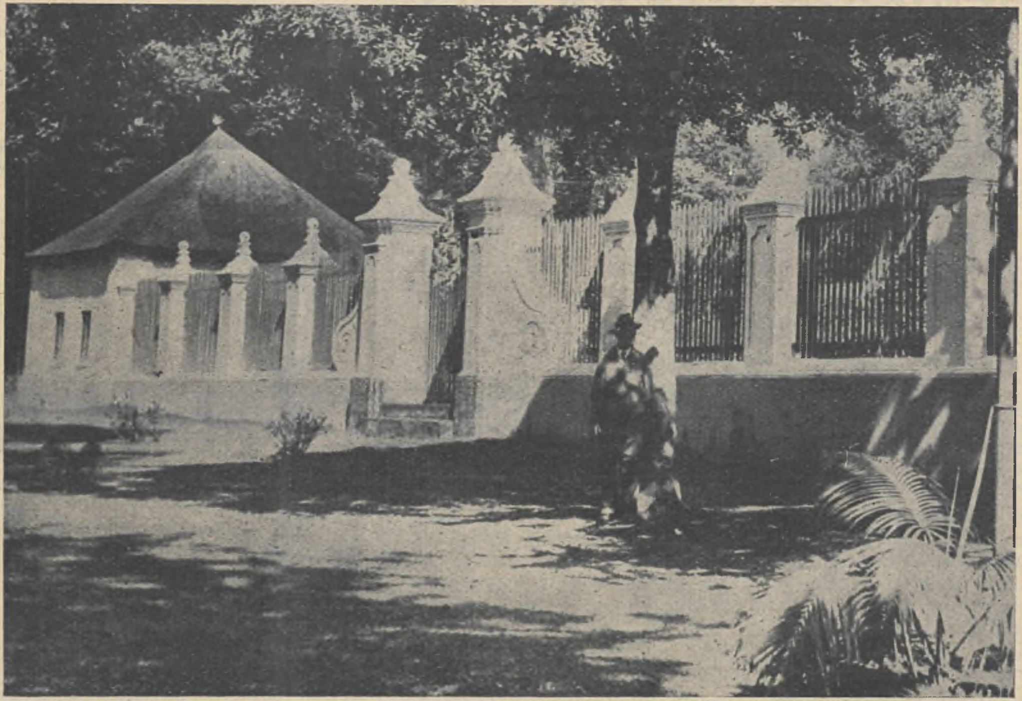
Marnowanie miljonów jest objawem, który najbardziej tu chyba uderza. Obok tego podziwiamy niesłychaną doskonałość techniczną, niezrównaną piękność dekoracyj.

— Marnotrawienie środków? Ależ oczywiście! Boć na cóż utrzymywać tak olbrzymi personel, niewspółmierny z zakresem pracy i normami płac, na co przepłacać miljony za szlagiery, które nigdy nie ujrzą światła jupiterów? Oto grają obecnie w New Yorku doskonałą komedję *Once in lifetime* (Raz w życiu), w której przedstawiają nam słynnego autora, sprowadzonego do Hollywoodu celem napisania scenarjusza na warunkach 100.000 tygodniowo; nudzi się, biedaczysko, gdyż nic nie ma do roboty, a gdy po czterech miesiącach, spędzonych na układaniu pasjansów i tresowaniu pająka — postanawia wreszcie... rozmówić się *po raz pierwszy* z prezesem, biegnie do dyrekcji, czeka dwie, trzy, cztery godziny. Od czasu do czasu ukazuje się w poczekalni boy i pisze na tablicy, że oto Pan Prezes poszedł do studja Nr. 4, a Pan Wice — do kantoru Nr. 33, że Supervisor wyszedł w tej chwili ze studja Nr. 12 i przeszedł do Nr. 17, że dyrektor ów jest w sali Nr. 6, a inny w Nr. 2 i t. d. i t. d.

Widząc to, biedny autor, wyprowadzony ostatecznie z równowagi, wstaje i ryczy:

— Hallo, boy!... Powiesz, jeśli się zapytają o mnie, iż przeszedłem do toalety, przegródka Nr. 4...

Widzowie co wieczór pokładają się ze śmiechu — no, a u nas — wszystko po staremu...

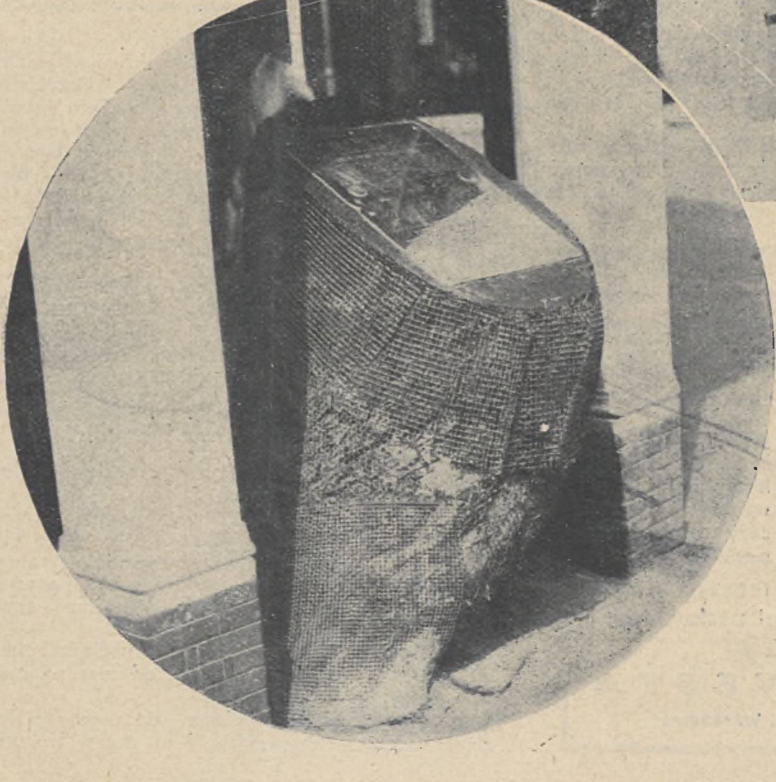


W muzeum londyńskiem przechowywana jest krata z kutego żelaza, zamykająca koszary dawnych niewolników w Cape Town.

Ostatnie ślady niewolnictwa

Niewolnictwo przetrwało w w poł. Afryce do połowy ub. stulecia. I jeśli dziś jeszcze w różnych częściach czarnego lądu jest praktykowane, to jednak targowiska, na których kupczono ludźmi, zostały usunięte. Wywożenie niewolników z Afryki jest surowo wzbronione.





Stara dzwonnica w Cape Town, służąca niegdyś do dawania sygnałów na posiłek i odpoczynek niewolników.

Dawne targowisko niewolników odbywało się pod drzewem, zasadzonem własnoręcznie przez pierwszego prezydenta Przylądka Dobrej Nadziei, holendra Van Riebek'a.

Pieniądze leżą na ulicy

Nie śmiałbym wyjawiać najuczciwszego pod słońcem sposobu, w jaki Billy Sullivan dorobił się znacznego majątku, lecz że fatalność zrządziła, iż przyjaciel mój został osadzony w kryminale, słowa te skreślam niejako z poczucia obowiązku obronienia go w oczach opinji publicznej.

Bo że krzywda go spotkała — osądzicie sami...

Billy Sullivan był człowiekiem biednym. Od dłuższego już czasu czerpał środki do życia niewiadomo skąd — lecz nigdy nie uciekał się do sposobów, któreby mogły zaciążyć na jego sumieniu. Gołębie serce jego wzdrygało się przed najmniejszą nieprawością. Billy Sullivan był uosobieniem wszelkich cnót. I za to właśnie nagrodził go los.

Pewnego razu przyjaciel mój przechodził ulicą, rozmyślając o tem, jakby móc najdłużej przeżyć za ostatnie 60 centów, które mu pozostały, gdy nagle — stanął, olśniony: na ziemi, u jego stóp, jarzył się piękny kamień tysiącami blasków. Nachylił się. Wziął do ręki — i oniemiał. Brylant! Fortuna!

Możeby kto inny dał się unieść pokusie, przywłaszczając sobie znaleziony kamień. Lecz Billy, jak się rzekło, był wzorem uczciwości. Pomyślał przez chwilę, iż brylant odnieść należy do najbliższego komisarjatu policji. Wolał jednak nie nawiązywać bliższego kontaktu ze stróżami bezpieczeństwa. Ot tak, instynkt uczciwego człowieka! Zdecydował natomiast, że lepiej ogłosić o zgubie w gazecie. I przezorniej — i z pewnością zwrócą mu się koszty z naddatkiem. Wolał więc poświęcić cały swój majątek, byleby, nie narażając się na nieprzyjemność, nie zboczyć z prawej linji życia.

Udał się zdecydowanym krokiem do administracji najpoczytniejszej gazety lokalnej i tego samego wieczora jeszcze ukazało się lakoniczne ogłoszenie:

Znaleziono pięciokaratowy brylant — zgłosić się do Billy Sullivana — 52 nd str. — Oczekiwane zwrot kosztów, odpowiednia nagroda.

Za ten dowód uczciwości zapłacił całe 55 centów!

A co dalej?

Z czego żyć?

Pragnąc dowiedzieć się, jak wielkiego dokonał poświęcenia, zwrócił się do pierwszego lepszego jubilera i pokazał mu brylant.

— To?... brylant?... — zdziwił się jubiler. — Toż to szkiełko. Mogę panu sprzedać tuziny podobnych kamyków za nic. Na tuziny, po 5 cent. za sztukę...

Billy wzdrygnął się. Na tuziny?... A on, nieborak, wszystko za to poświęcił — i dzisiejszy obiad, i kolację... A co będzie jutro?...

Zacisnąwszy zęby, udał się starym, praktykowanym sposobem na spoczynek. Przespanie głodu w podobnych wypadkach jest jedyną radą.

Nazajutrz rano obudziło go głośne pukanie.

— *Come in?* — krzyknął, przykrywając naprędce nędzę swej nagości.

— Czy to pan znalazł pięciokaratowy brylant? — zapytał przybysz od progu.

— Tak jest — oświadczył Billy, pokazując kamień.

— Czemże mogę się panu odwdzięczyć!... — zawołał nieznajomy. — A ja tak się martwiłem!...

Billy uśmiechnął się skromnie, wyjąc w duchu z radości na widok pięciodolarowego banknotu, który nieznajomy wyciągnął z portfelu.

A gdy tylko drzwi za nim się zamknęły, ubrał się, niczem strażak na alarm i wybiegł do najbliższej jadłodajni, aby zaspokoić nurtujący go głód.

Zjadł po królewsku. Kupił sobie gazetę i postanowił choć raz spędzić parę godzin po ludzku.

Kiedy nawałęsawszy się dowoli po mieście, powrócił do domu, dozorca mu oznajmił, iż kilkanaście osób zapytywało o niego w ciągu rana. Mówili, że wrócą...

W jakim celu? Jasne. Billy pojął to w lot.

— Więc każdy zgubił brylant... — pomyślał. — Ha! łobuzy — toć to mi wygląda na zwyczajną grandę...

A że Billy nie był głupim tępakiem, więc chyżo uprzytomnił sobie, co ma robić. Obliczył swoje kapitały i stwierdził, że po zjedzeniu śniadania pozostaje mu aż 2 dolary, czyli równowartość — czterdziestu brylantów! Pobiegł bez wahania do jubilera, który poprzedniego dnia ofiarował mu *tuziny* kamieni po 5 centów, załatwił w mig tranzakcję i wrócił do domu, polecając dozorcy, aby interesantów wpuszczał po jednemu.

Nie długo czekał na klijentów. Przyłazili, jak mrówki — każdy przyznawał się do zguby — i szybko załatwiał sprawę, pozostawiając memu przyjacielowi wynagrodzenie za uczciwość.

Pierwszy ten dzień przyniósł paręset dolarów zysku!

Czy Billy Sullivan mógł odczuwać wyrzuty sumienia?

Toć nie był winien, że zgłosiło się do niego kilkudziesięciu łobuzów!

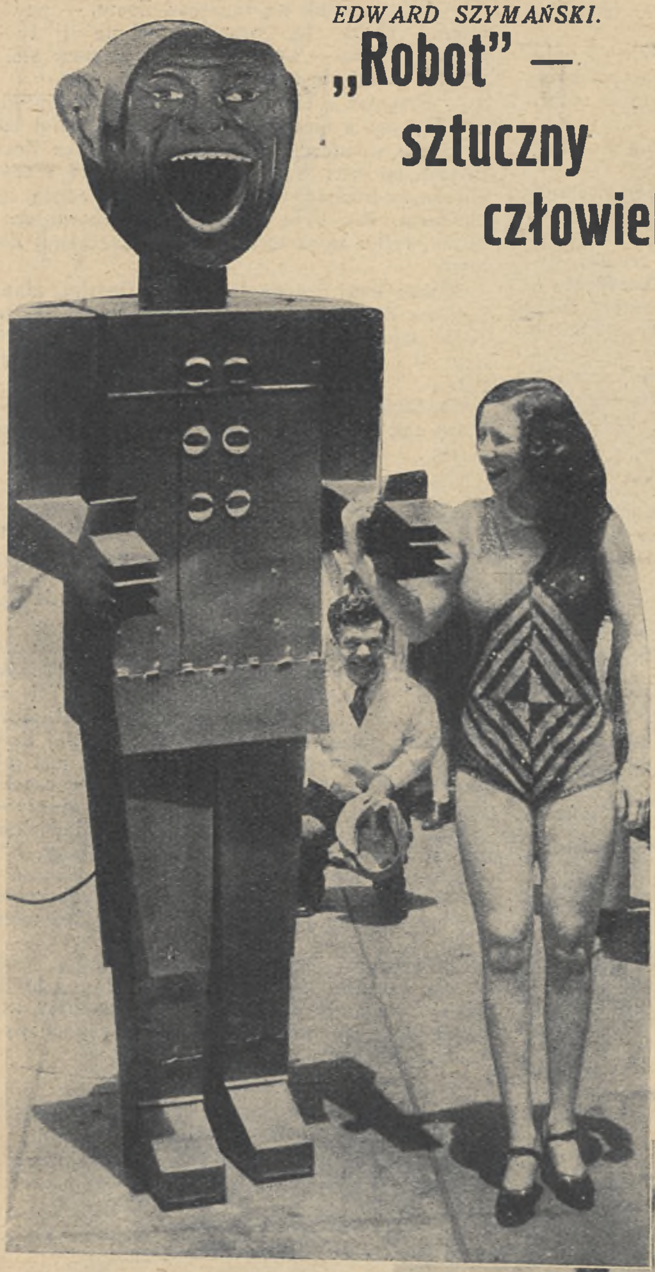
Billy Sullivan pomysłu swego nie opatentował, lecz postanowił rozpocząć racjonalną jego eksploatację... Nie pracował w jednem i tem samem mieście — lecz rozjeżdżał po całym kraju, wszędzie znajdując „klijentów". Wkrótce nawet mógł sobie pozwolić na samochód.

— Pieniądze leżą na ulicy... — pocieszał sceptyków, którzy skarżyli się przed nim na ciężkie czasy.

Fatalność chciała jednak, że pewnego dnia przez zapomnienie odwiedził po raz wtóry miasto, w którem dał się poznać jako znalazca brylantów. Ogłoszenie. Anonim. Podstęp policji — i przyjaciela mego zamknięto.

O złośliwości ludzka! Czyżby Billy Sullivan zboczył z drogi cnoty?!...

(Pt.)



EDWARD SZYMAŃSKI.

„Robot" — sztuczny człowiek

W lecie zeszłego roku, na wielkim placu przy katedrze św. Pawła w Londynie, gdzie panuje niezwykle ożywiony ruch pojazdów, automobilów i pieszych, ustawiono po raz pierwszy w historji świata, „sztucznego człowieka", którego zadaniem jest regulować ruch. Od czasu do czasu automatycznie podnosił on rękę i dawał różne sygnały, oznaczające „naprzód!", „stój!", „uwaga!" i t. p., przyczem jednocześnie zjawiały się odpowiednie sygnały świetlne. Automat ten zastępował w zupełności policjanta, regulującego ruch i policja londyńska nosiła się podobno z myślą zaopatrzenia wszystkich przecznic i ruchliwych punktów w takich automatycznych posterunkowych.

Nagle rozeszła się po mieście wiadomość, że automat ów... dostał porażenia słonecznego. Pod działaniem silnych promieni słonecznych mechanizm popsuł się cokolwiek, przestał składnie działać i wszystkie sygnały zaczęły się jednocześnie pojawiać, co spowodowało zakłócenie ruchu. Mechanik naprawił szkody, jakich doznał automat, wycofano go jednak, a wynalazca pracuje nad uodpornieniem go na działanie słońca. Nie ulega wątpliwości, że prędzej czy później „żelazny posterunkowy" wykonywać będzie swą służbę ku ogólnemu zadowoleniu.

Myśl o „sztucznym człowieku" jest bardzo stara, liczy sobie conajmniej dwa tysiące lat. Genjalni greccy uczeni czasem już napomykali o nim, a potem w ciągu każdego okresu rozwoju techniki i nauki robiono próby, idące zasadniczo w dwóch kierunkach. Usiłowano stworzyć człowieka środkami chemicznemi albo mechanicznemi. Pierwsze zawiodły całkowicie, gdyż dotychczas najzręczniejszemu nawet chemikowi nie udało się stworzyć w laboratorjum „sztucznego" życia. Lepiej powiodło się ze sposobami mechanicznemi. Ale zanim zajęto się konstruowaniem człowieka, poczyniono próby łatwiejsze, ze sztucznemi zwierzętami. Wykonano np. sztucznego gołębia z drzewa, który umiał podlatywać, ślimaka, wyciągającego różki, muchę, umiejącą brzęczeć i chodzić po stole — słowem przedmioty, będące dziś zabawkami dla dzieci. Swego czasu były to jednak podziwu godne wyczyny mechaniki.

Podobno już na 3 tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa jeden z faraonów egipskich posiadał prototyp człowieka mechanicznego. Naturalnie, nie trzeba temu zbytnio wierzyć, jak i temu, że słynny uczony średniowieczny, Albert Wielki (1193—1280), posiadał taki automat, który mógł nawet wykonywać pożyteczną pracę, gdyż otwierał drzwi i pozdrawiał gości. Dopiero wynalazek zegarka kieszonkowego w 1510 roku otworzył nowe możliwości dla mechaników. Budowano już automaty, które mogły wygrywać na bębnach, dąć w trąby, władać bronią — ba, nawet tańczyć. Nader interesujący automat zbudował w roku 1760 wiedeńczyk, Wolfgang von Kempeleu. W całej Europie uważano go za cud świata i przez prawie pół stulecia zachwycano się nim. Oto co pisze o nim ówczesny uczony: „Jest to Turek, siedzący przy szachownicy i umiejący grać zgodnie z prawidłami gry w szachy. Lewą ręką podnosi figury i ustawia je na odpowiedniem polu. Przy szachu królowej kiwa się dwa razy, przy szachu króla — trzy razy. Gdy przeciwnik gra fałszywie, Turek kręci głową, a po trzech fałszywych ruchach zrzuca wszystkie figury z szachownicy". Tajemnica „gracza w szachy" nie była zupełnie wyjaśniona. Niektórzy przypuszczali, że w środku siedzi jakiś człowiek, inni, że Kempeleu, obecny zawsze przy takiej partji szachów, oddziaływał na automat drogą magnetyczną, albo w jakiś inny sposób. Faktem jednak jest, że z automatem tym przegrał słaby szachista, Napoleon Bonaparte.

Również w 18 wieku pewien Francuz zbudował węża, który mógł pełzać, syczeć, wysuwać język, oraz kaczkę, która potrafiła wydawać głos, podlatywać, a nawet podobno jadła trawę, jak żywa. Lata po Wielkiej Rewolucji obfitowały w takie automaty, później jednak urwało się to na długo, gdyż, słusznie zresztą, uważano to za bezcelowe zabawki.

Dopiero w ostatniem dziesięcioleciu Anglicy i Amerykanie zaczęli zastanawiać sie nad praktyczną możliwością wykorzystania człowieka-automatu.

Ostatnio bowiem jest tendencja zastępowania żywego człowieka sztucznym tam, gdzie żywy jest za drogi, albo nie może zrobić tyle, co sztuczny. Ten ostatni bowiem nie wymaga pensji i wykonywa z absolutnem posłuszeństwem i pewnością swe zadanie, jeżeli zapewni mu się odpowiedni zapas energji mechanicznej, lub jej stały dopływ. Rozumie się, że technika wojenna nie zapomniała wykorzystać „robota". Inżynier amerykański, Whitman, zbudował automat, przypominający człowieka, chociaż bez głowy, poruszający się na podobieństwo tanku. Uderzenie stalowego ramienia tego olbrzyma może zabić nawet słonia! Prócz tego do rąk umocowany jest krążek, z którego na rzemieniach zwisają metalowe kule. Uderzenie takiej kuli — to śmierć. Na parę kilometrów można kierować taką maszyną, jak się żywnie podoba. O wiele pożyteczniejszy jest jednak ten „żelazny posterunkowy", o którym pisaliśmy na początku, niż człowiek-maszyna, mordujący na zimno i bez wahania, nieulękły i ślepy.

Jedno jest pewne. „Robot", sztuczny człowiek, nie jest groźnym konkurentem swego twórcy. Nie ożyje. A przedewszystkiem brak mu myśli i serca, czego nie zastąpią elektromagnesy, kamery światłoczułe i akumulatory.



Olbrzymi „robot" na plaży w Miami wita każdego z plażowiczów głośnem: Good morning; u dołu reklama jednej z restauracyj berlińskich.

ZYGMUNT KAWECKI.

A PISZ!... A PISZ!

Motto:
— Kto pisze listy?
— Mężczyźni chorzy i kobiety zdrowe.
(Auto-cytat)

W czasie Wielkiego Tygodnia mam zwyczaj szperać po zakamarkach mego charakteru — i wydobywać stamtąd brzydkie nawyki, aby ich władzę nademną conieco przykrócić.

Z wielkiemi nałogami postępuję, oczywiście, ostrożnie — gdyż raptowne i radykalne porzucenie nałogów pryncypalnych — mści się na każdym penitencie, prędzej czy później — w sposób niezawodny, to jest, jako dubeltowa recydywa. Mówiąc popularnie — po wielkiej i długiej abstynencji — nałóg nabiera podwójnego smaku. Dlatego z wielkiemi nałogami — i z wielkiemi postanowieniami — proszę być b. ostrożnym!

Co innego grzeszki i przyzwyczajenia pomniejsze — jak np. niepunktualność — albo zaniedbywanie odpisywania na listy. W tej dziedzinie można wprowadzać miniaturowe, stopniowane korekty.

Z listami, naprzykład, biorę się od czasu do czasu, za bary — i staram się odpisywać — ale włożywszy list do kieszeni — potrafię go całemi tygodniami, niedonosić i nie niedonieść do skrzynki.

Tak było z panią Zosią. Kiedy odjeżdżała do Zakopanego, ostatnie jej słowa wagonowe, to znaczy, rzucone z pociągu — były:

— A pisz! a pisz!

Otrzymawszy w ciągu jej miesięcznego pobytu wśród zbójników góralskich i dancingowych — parę pocztówek — i trzy listy polecone — nie odpisałem wcale, odkładając sobie wszystkie genialne aforyzmy listowe na później—tak, aby wystąpić z jedną (coprawda) epitsołą, ale zato sążnistą.

Tymczasem stało się tak.

Przychodzę raz do domu wcześnie z wieczora (bo i tak się zdarza) — i zasiadam do biurka.

Listy pani Zosi leżą, jak paczka wyrzutów sumienia — na miejscu naczelnem, koło kałamarza.

Chwytam za nie, rozkładam — potem chwytam za pióro — i ogarnia mnie nagła zmora stania się poczciwym i porządnym listopisarzem. Myślę sobie przy tem tak:

— Aby napisać długo i z grafomanją — należy mieć w pokoju ciepło — a w samym sobie zapas pożywienia — aby nie burczało w żołądku.

Wstaję więc od biurka i wybiegam na ulicę. Po węgiel — i po odżywkę.

Załatwiłem. Kupiłem papierosy, węgiel i mleko.

Wyszedłem właśnie z mleczarni i węglarni, oczywiście nie równocześnie, bo trudno być za jednym zamachem i białym i czarnym — ale (żeby powiedzieć ściśle) — kazałem sobie przynieść węgla — i tuż obok, przy węglarzu, kupiłem mleka.

Mówię o tem dlatego tak barwnie i krańcowo, abyście wiedzieli, że ludzie wiecznego pióra pijają ekstrakt krowi — i mają dużo zmysłu praktyczności.

Otóż, gdy szedłem, dumny z posiadania flaszki mleka w palcie, a 50 kg. węgla na plecach człowieka, który parę kroków za mną niósł to przyszłe ciepło do mojej garsoniery — słyszę naraz za sobą:

— Hej Hej!

Obracam się. Pani Zosia.

Trzeba wiedzieć, co i kto jest pani Zosia. Z. Z. Z. (Zdrowie, Zęby, Żelazo). S. S. S. (Sport, Śpiew, Siła). E. E. E. (Energja, Efektowność, Evviva l'arte).

Więc skoro taki materjał i taki ensemble zawołał na mnie, na ulicy „hej! hej!" — wszystkim będzie chyba jasne, że zapomniałem o węglu i mleku — i przystanąłem.

— Ty patałachu obyczajowy, ty dżentelmenie nie rozklekotany, ty konowale charakteru — powiada publicznie pani Zosia — to ja, tańcząc i śpiewając — i sportując w górach — mam zdrowie do pisania listów — a ty ani słówkiem nie piśniesz na papierze? (i t. d. i t. d.).

Kiedy poczułem, że wśród tej ulewy słów znalazło się wreszcie i miejsce na moją odpowiedź, odparłem —

— Ależ Zosiu-Zosieńko — ja właśnie nakupiłem sobie co potrzeba, aby siedzieć w domu i pisać listy do ciebie. Śpieszę się strasznie, do domu, aby ci odpisać — i na wszystkie listy — na to, coś teraz na mnie spuściła z wysokości swego obrażonego tronu.

Na to pani Zosia w śmiech. Szeroki, długi zawiesisty, nieposkromiony.

— Dlaczego tak się śmiejesz, Zosiu, — powiadam — skoro ja, prawdopodobnie i ty — śpieszymy się — bo zimno — a węglarz stoi z boku — i też się śpieszy.

— Przecież z ciebie leci coś białego! Im więcej drygasz z niecierpliwości, tem bardziej leci.

Patrzę w kierunku, wskazanym przez Zosię, to jest, od łona, ku kolanom — i widzę, rzeczywiście, że białość, biała jak droga mleczna, leci ciurkiem. Nie była to biel mego charakteru i duszy, tylko zawartość flaszki, niezatkanej korkiem.

Wobec tego pożegnałem się z flaszką, złapałem za Zosię — to jest — przeciwnie — poczem popchnąłem węglarza w kierunku mej ulicy — i znalazłszy się w domu — napisałem list.

Osądźcie sami, czy to jest wogóle „list" — i czy tak się pisze do podróżniczek zakopiańskich.

*

Zosiu — kto pisze listy? Mężczyźni chorzy — i kobiety zdrowe. Dlaczego się pisze listy? Dlatego, że samo mówienie (choćby przez telefon) nie wyczerpuje całego zapasu witalności, jaki człowiek może wystrzelić do człowieka — dlatego, że ludzie, zwłaszcza temperamentowi, już przez to samo, że dają się ponosić słowu mówionemu, nie mogą myśleć myślami całkowitemi i odpowiadającemi istocie rzeczy... Tak samo, jak jeździec, albo amazonka na cwałującym koniu nie mogą równocześnie pić czarnej kawy ze ślicznej filiżanki... List przecież, to jest jakby ułamek wieczności, dzieła, pomnika, cząstka obrazu danej chwili, okruch otwartej duszy — a nie wiatr, który umiera razem z dźwiękiem słowa, rzuconego bez skupienia i zadumy.

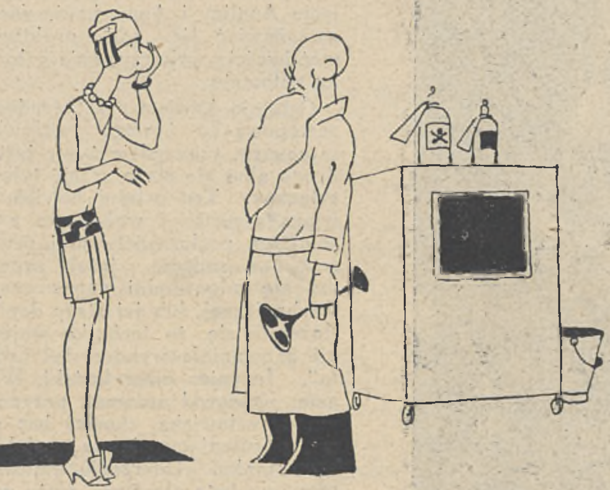
Kto więc może i umie zadumać się, skupić — i odbić atom swego życia na kliszy wieczności, ten może pisać listy, zwłaszcza, gdy ich niema pisać do kogo — —

....Mężczyźni, kiedy umią się skupić, piszą *dzieła, które są listami do ludzkości* — a kobiety, kiedy umieją się rozproszyć, piszą *listy*, które są *arcydziełami* dla mężczyzn, zakochanych w ich autorkach.

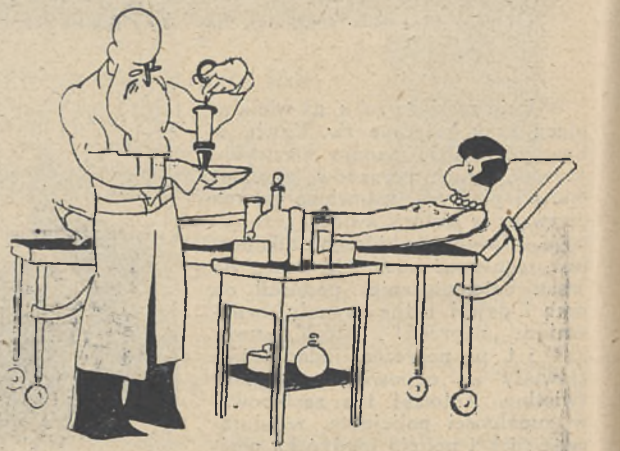
*

Na ten list nie mam od Zosi odpowiedzi — choć się już postarzałem o dwa tygodnie — a ona — odmłodniała w tym samym czasie — o dwa lata.

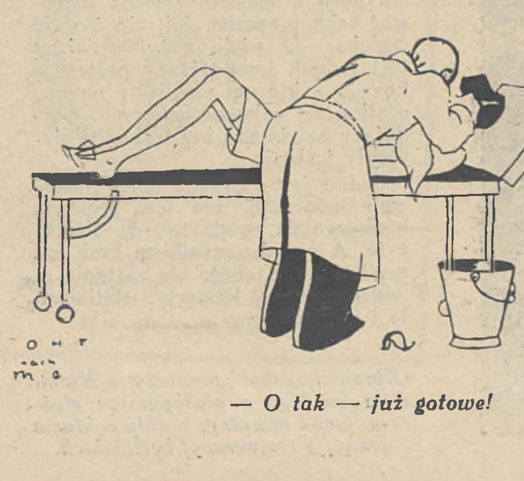
Wszechpotężna medycyna



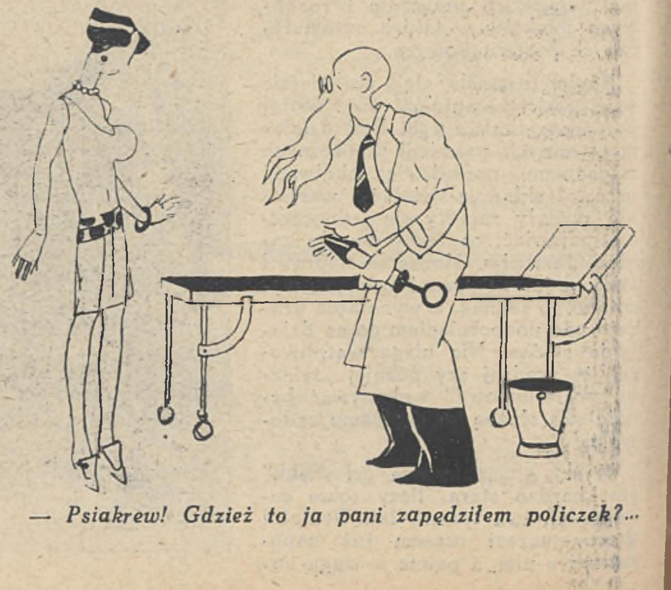
— *Psiakrew! Gdzież to ja pani zapędziłem zgrubienie?...*



— *Głupstwo — zaraz to usuniemy!*



— *O tak — już gotowe!*



— *Psiakrew! Gdzież to ja pani zapędziłem policzek?...*

Król i Wódz



Po raz pierwszy król Karol Rumuński asystował w roli monarchy przy ceremonji zaprzysiężenia rekrutów. Z okazji tej uroczystości można było stwierdzić, jak szeroką popularnością cieszy się młody monarcha, któremu naród już dawno przebaczył młodzieńcze wybryki, notując zato skrzętnie wszystko, co dynastję królewską łączy z tradycją ojczyzny — a w szczególności poczynania zmarłego króla Ferdynanda oraz pierwsze kroki, stawiane w życiu publicznem przez króla Karola przy boku ojca za czasów wojny światowej.



JANUSZ MEISSNER, por. pilot.

Katastrofy lotnicze

Mam napisać 200 wierszy o katastrofach lotniczych.

— Zlitujcie się, redaktorze: 200 wierszy? O wiele łatwiej byłoby napisać 2 tomy!

Więc, aby ułatwić sobie porozumienie z czytelnikiem, umówmy się najpierw, co będziemy nazywać katastrofą. Zupełnie niesłusznie nadużywa się tej nazwy dla najbłahszych nawet wypadków przy lądowaniu, które najczęściej kończą się lekkiem uszkodzeniem śmigła, podwozia, albo skrzydła samolotu, a z których załoga wychodzi z reguły cało. To nie są katastrofy, tak samo, jak nie są katastrofami lekkie uszkodzenia błotnika, lub latarni samochodu.

Katastrofa lotnicza jest to wypadek, powodujący takie uszkodzenie samolotu, którego nie opłaca się naprawiać ze względu na rozmiar zniszczenia, lub też wypadek, w którym załoga odnosi rany, względnie ponosi śmierć.

Zgóry muszę zaznaczyć, że — jeśli chodzi o lotnictwo wojskowe — w obliczeniu proporcjonalnem do ilości wykonanych lotów i czasu, przebytego w powietrzu, mniej jest u nas katastrof, niż zagranicą. W lotnictwie cywilnem na naszych linjach komunikacyjnych nie było ich dotąd wcale.

Jakież są przyczyny katastrof i wypadków lotniczych wogóle?

Wchodzą tu w grę cztery zasadnicze czynniki: samolot, warunki atmosferyczne, teren i pilot.

Samolot. Samolot może być lepszy, albo gorszy. To znaczy — może mieć takie, czy inne właściwości w locie, różny stopień wytrzymałości, lepszy, lub gorszy silnik. Może mieć pewne wady konstrukcyjne, może posiadać wyższe, lub niższe zalety aerodynamiczne. Wreszcie — może być lepiej, lub gorzej przygotowany do lotu przez mechaników.

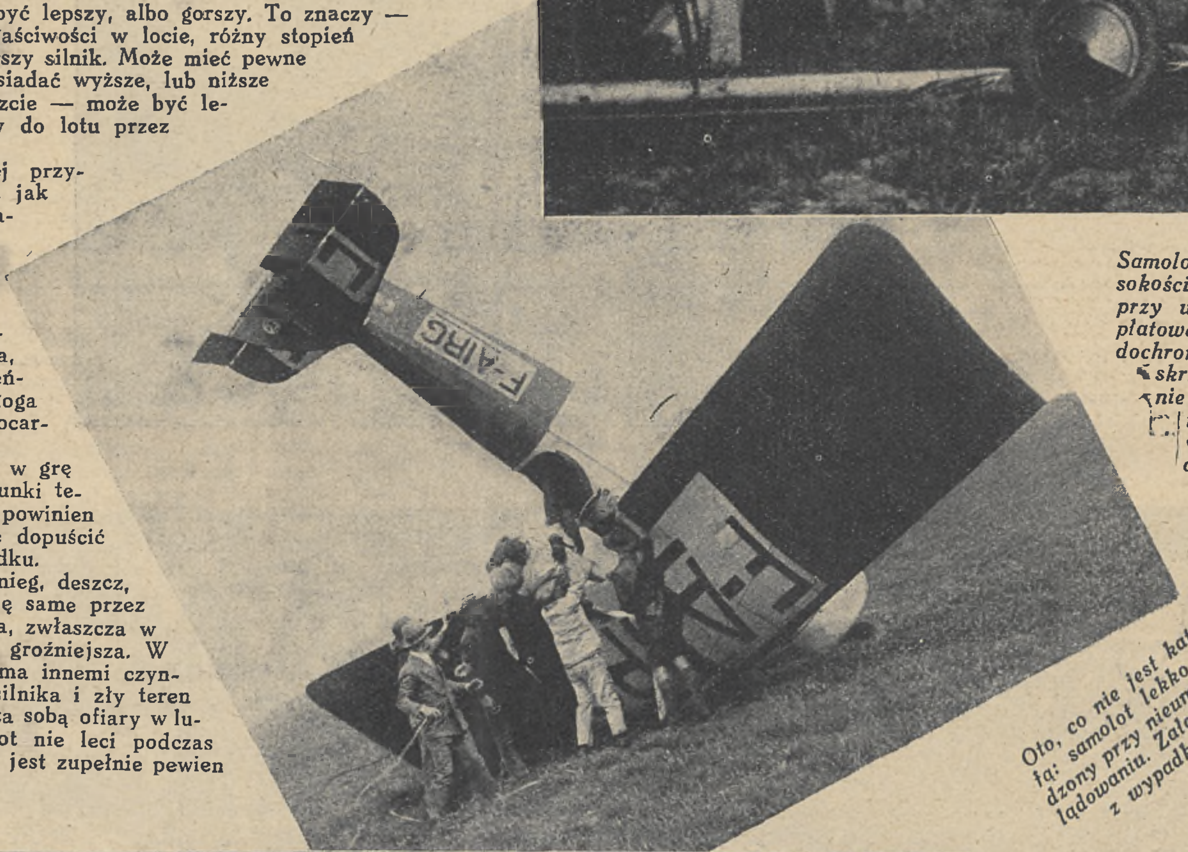
Samolot bywa najrzadziej przyczyną katastrofy. Takie fakty, jak złamanie skrzydeł w locie, zacięcie się sterów, lub pożar w powietrzu, zdarzają się bardzo rzadko. W takich okolicznościach załodze pozostaje jeszcze skok ze spadochronem, co nie przedstawia, zresztą, żadnego niebezpieczeństwa, pod warunkiem, że załoga ma głowy na karku, a nie owocarnie.

Zepsucie się silnika, o ile w grę nie wchodzą wybitnie złe warunki terenowe i atmosferyczne, pilot powinien opanować bez trudności i nie dopuścić do najmniejszego nawet wypadku.

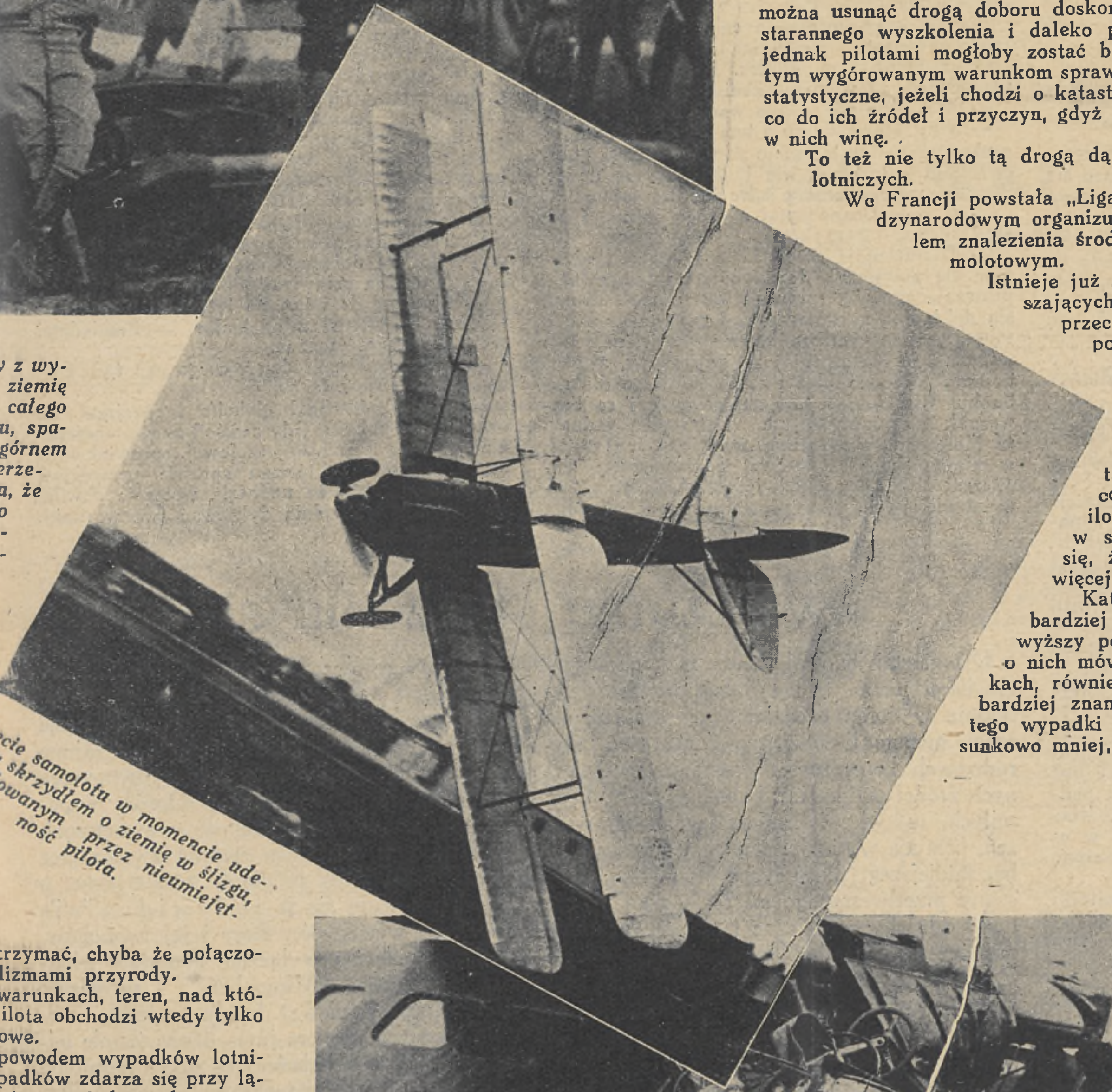
Warunki atmosferyczne. Śnieg, deszcz, wiatr i t. p. nie mogą stać się same przez się przyczyną katastrofy. Mgła, zwłaszcza w czasie nocy, jest już o wiele groźniejsza. W połączeniu z jednym lub dwoma innemi czynnikami, jak np. zepsucie się silnika i zły teren do lądowania, często pociąga za sobą ofiary w ludziach. To też wytrawny pilot nie leci podczas niskiej i gęstej mgły, o ile nie jest zupełnie pewien drogi i silnika.



Samolot i jego pilot (×), którzy z wysokości 5000 stóp spadli na ziemię przy użyciu spadochronu dla całego płatowca. Jak widać na zdjęciu, spadochron przymocowany na górnem skrzydle (××) osłabił uderzenie o ziemię do tego stopnia, że tylko podwozie i śmigło samolotu doznało uszkodzeń. Pilot wyszedł z próby bez szwanku.



Oto, co nie jest katastrofą: samolot lekko uszkodzony przy nieumiejętnem lądowaniu. Załoga wyszła z wypadku cało.



Zdjęcie samolotu w momencie uderzenia skrzydłem o ziemię w ślizgu, spowodowanym przez nieumiejętność pilota.

Natomiast burza nie powinna go zatrzymać, chyba że połączona jest z huraganem, lub innemi kataklizmami przyrody.

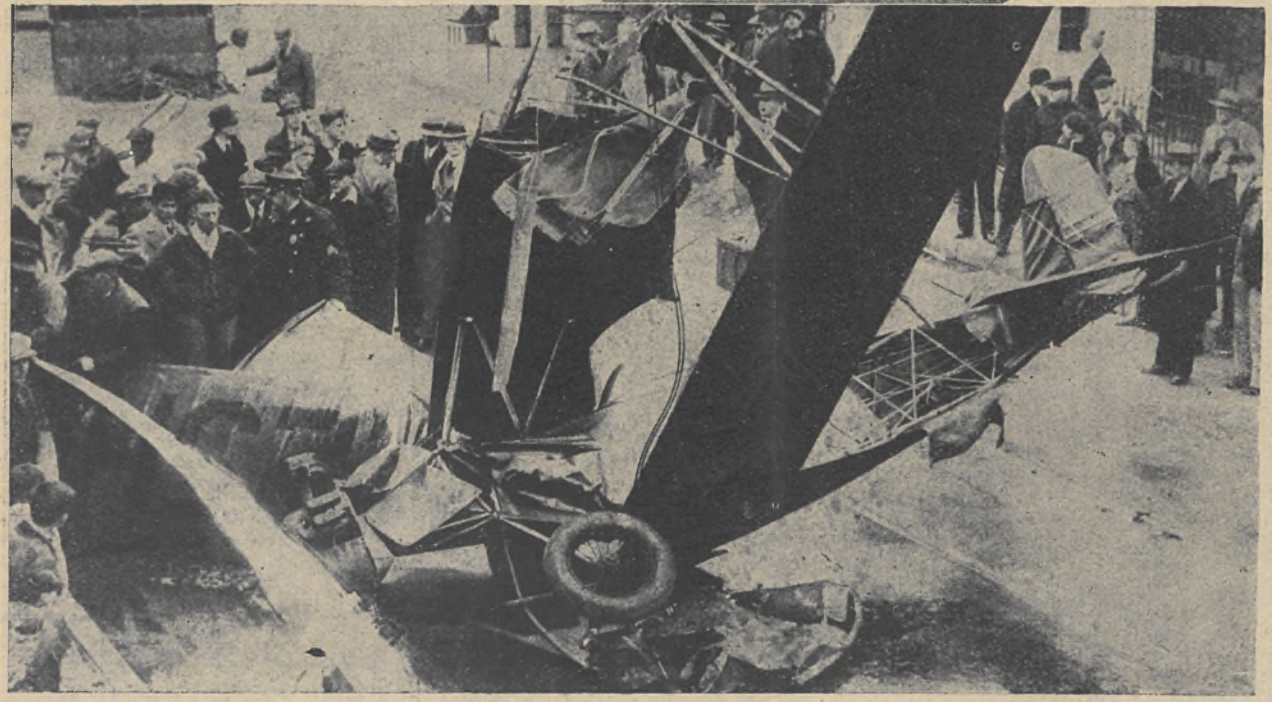
Teren. Przy locie w sprzyjających warunkach, teren, nad którym się leci, nie odgrywa żadnej roli. Pilota obchodzi wtedy tylko miejsce lądowania, t. j. lotnisko docelowe.

A jednak teren jest najczęstszym powodem wypadków lotniczych. Wynika to stąd, że większość wypadków zdarza się przy lądowaniu. Musi tu jednak wchodzić w grę jeszcze jeden z dwu czynników: pilot, o którym zaraz opowiem szerzej, i samolot, a raczej silnik, często jeszcze zawodny.

Zresztą uszkodzenia samolotu z przyczyn niedogodnego terenu są zwykle niewielkie i niegroźne dla życia załogi.

Pilot. Czynnikiem najważniejszym, zarówno w związku z innemi, jak i oddzielnie, jest pilot. Jeżeli sam powoduje katastrofę, albo jest źle latającym patałachem, albo posiada o wiele więcej brawury, niż talentu. Takich pilotów mamy — na szczęście — niewielu. Sprawa komplikuje się jednak, gdy w grę wchodzą trzy pozostałe czynniki łącznie, lub oddzielnie: samolot, teren i warunki atmosferyczne.

Może być kwestją sporną, komu przypisać winę, gdy np. następuje przymusowe lądowanie podczas mgły na rozmokłem, świeżo zaoranem polu, przyczem samolot zostaje rozbity. Zależy to od wielu okoliczności: od wysokości, na jakiej można było lecieć, od tego, czy było w pobliżu inne, lepsze do lądowania miejsce, czy silnik działał jeszcze na tyle sprawnie, aby można dociągnąć na nim dalej i t. p. W przytoczonym wypadku — mojem zdaniem — można pilota całkowicie usprawiedliwić pod warunkiem, że: 1)— zmuszony był lecieć, 2)—całkowicie wyzyskał najlepszy z osiągalnych w danych warunkach terenów, 3)—przedsięwziął wszystkie środki, aby lądowanie odbyło się możliwie łagodnie, zmniejszając tem samem do minimum uszkodzenie samolotu.



Samolot rozbity podczas przymusowego lądowania na ulicy miasta.

Nawet, jeżeli tego rodzaju lądowanie przymusowe odbywa się w nocy, można wyjść cało z wypadku, trzeba jednak zdawać sobie sprawę z tego, gdzie w danej chwili samolot się znajduje, z której strony ma się wiatr, jakiego rodzaju teren ma się przed sobą i t. d. Zależnie od okoliczności, postępuje się bowiem tak, lub inaczej. Inaczej ląduje się na las, inaczej na dachy domów (i to może się zdarzyć), inaczej na bagna, a inaczej na równe pola. Jeżeli dobry pilot rozporządza maszyną, zdolną do lotu, nie wyobrażam sobie, aby pozostałe czynniki spowodować mogły katastrofę.

Jeżeli dobremu pilotowi silnik, lub nawet ster odmówi posłuszeństwa, a ma on po swej stronie albo sprzyjające warunki atmosferyczne, albo teren odpowiedni do lądowania, powinien katastrofy uniknąć zawsze, w 80-ciu zaś wypadkach na 100 wylądować bez uszkodzenia maszyny.

Nawet, jeżeli ma wszystkie czynniki przeciw sobie, powinien wyjść z życiem.

Naogół ze statystyki katastrof wynika, że przyczyną ich są: w 50-ciu procentach — brak zimnej krwi i przytomności umysłu pilota; w 30-tu procentach — zbytnia brawura, lecz nieostrożność; w 15-tu procentach — nieumiejętność i brak praktyki w lądowaniu na złych terenach i w lataniu w złych warunkach atmosferycznych; w 5-ciu procentach wreszcie — przyczyny siły wyższej, jak złamanie skrzydeł w locie, wady konstrukcyjne samolotu, złe działanie spadochronu i t. p., gdzie z całą pewnością wykluczyć można winę pilota.

Jak widać z tego zestawienia, ogromną większość przyczyn katastrof można usunąć drogą doboru doskonałego personelu latającego, jego bardzo starannego wyszkolenia i daleko posuniętej dyscypliny w lataniu. Wtedy jednak pilotami mogłoby zostać b. niewielu ludzi, którzy odpowiedzieliby tym wygórowanym warunkom sprawności nerwowej i fizycznej. Przytem dane statystyczne, jeżeli chodzi o katastrofy śmiertelne, mogą podlegać dyskusji, co do ich źródeł i przyczyn, gdyż nieraz b. trudno rozstrzygnąć, kto ponosi w nich winę.

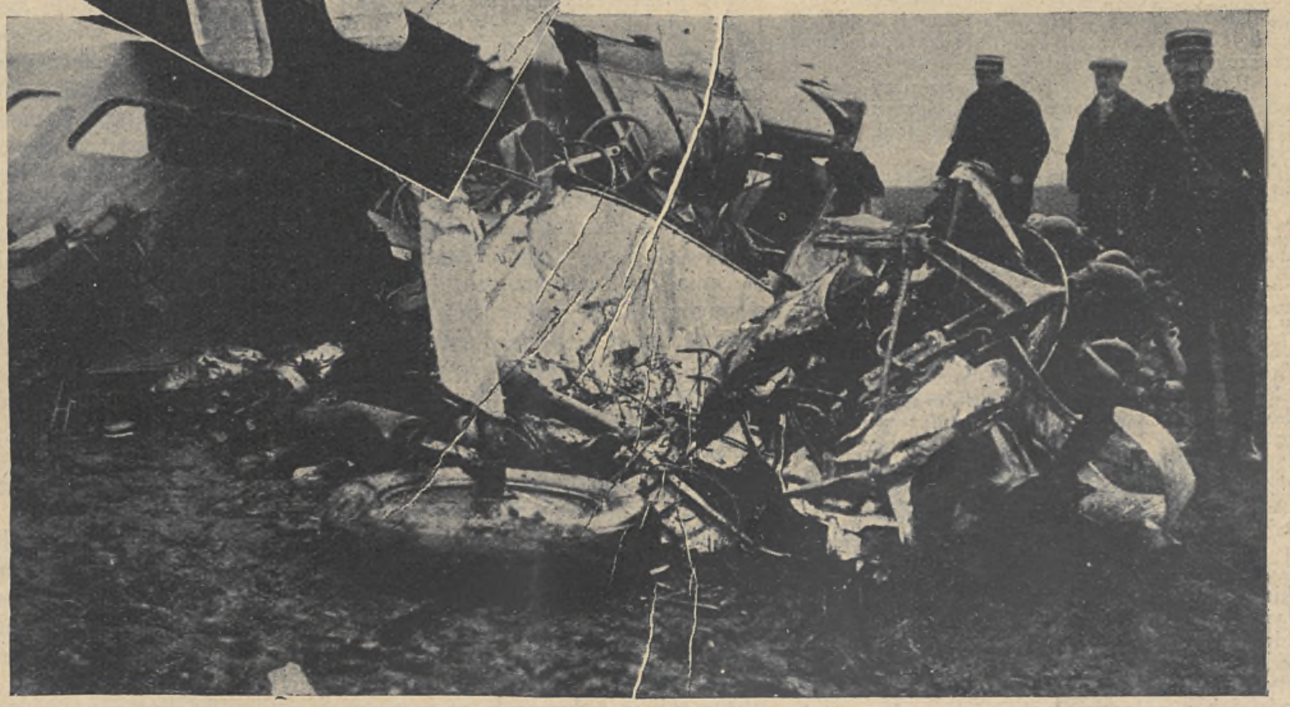
To też nie tylko tą drogą dąży się do zmniejszenia ilości wypadków lotniczych.

We Francji powstała „Liga Bezpieczeństwa", która na terenie międzynarodowym organizuje kongresy konstruktorów i pilotów, celem znalezienia środków zaradczych przeciw katastrofom samolotowym.

Istnieje już szereg konstrukcji i wynalazków, zmniejszających do minimum trudności w sztuce latania, przeciwdziałających utracie szybkości (która powoduje, jak wiadomo, wejście samolotu w ślizg i w korkociąg), wreszcie — zabezpieczających samolot przed skutkami zderzenia z ziemią (spadochron dla całego samolotu).

To też nie ulega wątpliwości, że katastrofy lotnicze już obecnie zdarzają się coraz rzadziej (w stosunku do wzrastającej ilości lotów). Jeżeli liczyć ilość katastrof w stosunku do przebytej drogi, to okazuje się, że np. w automobilizmie zdarza się ich więcej, niż w lotnictwie.

Katastrofy lotnicze mają to do siebie, że są bardziej atrrakcyjne, powiedziałbym — posiadają wyższy potencjał sensacji.. Dlatego też więcej się o nich mówi, pisze i plotkuje, niż o innych wypadkach, równie groźnych, ale bliższych publiczności, bardziej znanych, a przez to mniej ciekawych. I dla tego wypadki lotnicze są tak głośne, choć jest ich stosunkowo mniej, niż innych.



Samolot rozbity przy lądowaniu z powodu silnej mgły. (Pilot ranny).

J. S. FLETCHER. 7)

MORDERSTWO NA OGRODOWEJ

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

Do młodego adwokata, Shelmore'a, zamieszkałego w miasteczku Southemstowe, zgłasza się młoda panna, Cyntja Gretty, z tem, że opiekun jej, pan Deane, zniknął nagle z hotelu, w którym miał na nią oczekiwać. Adwokat i Cyntja udają się do hotelu, by zbadać sytuację na miejscu. Wzywają inspektora Mellaponta, który, po śledztwie wśród służby, powierza sprawę swemu najzdolniejszemu detektywowi, Johnowi Hackdale.

Pani Champernowne wskazała fotel, stojący w pobliżu biurka.

— Cóż takiego? — zapytała z zachęcającym uśmiechem. — Niech się pan streszcza, bo za dziesięć minut muszę być na ważnej konferencji.

— Ta rozmowa jest, według mnie, ważniejsza, proszę pani, — zauważył Hackdale napozór obojętnie. Zajął miejsce w fotelu i pochylił się ku swej szefowej. — Proszę pani, — ciągnął dalej, — słyszała pani prawdopodobnie o ostatniej sensacji, a mianowicie, że w pobliżu willi pani znaleziono zamordowanego człowieka.

— Słyszałam, że ten jegomość się podobno zastrzelił, — odparła pani Champernowne z dziwnym niepokojem, który nie uszedł uwagi Hackdale. — Nie mam pojęcia, czy to było morderstwo, czy samobójstwo.

— Morderstwo, łaskawa pani, — uśmiechnął się Hackdale. — O samobójstwie nie może być mowy. Jegomość ten, zamordowany został podstępem i dziwnym zbiegiem okoliczności ja właśnie znalazłem trupa! Całe szczęście, że w owej chwili byłem zupełnie sam. Panią powinno to cieszyć!

Krwisty rumieniec wrócił na blade policzki pani Champernowne. Uczyniła ruch, jak gdyby się chciała podnieść z krzesła, ale Hackdale niewzruszenie ciągnął dalej:

— Pani szczęście, powiadam, bo przy zwłokach znalazłem coś, coby mogło sprawić pani wiele przykrości. Czy domyśla się pani, co to było? Proszę, niech pani spojrzy!

To mówiąc, wyjął z kieszeni żółtą agrafkę i położył ją na biurku przed zalęknioną kobietą. Nie uszło badawczej jego uwagi, że rumiana przed chwilą twarz pani Champernowne, nagle pobladła znowu.

— Poznaje pani? — zapytał przyciszonym głosem. — Przypuszczam, że tak! W poniedziałek popołudniu przyszła pani do kantorku za sklepem, aby mi pokazać pudełko tych oryginalnych agrafek, które jeden z dostawców przysłał pani na próbę. Gdy agrafki te obejrzałem, schowała pani pudełko do kieszeni i wyszła z kantorku. Jak to się stało, że znalazłem taką właśnie agrafkę w marynarce zmarłego? Dziwne! O zmarłym wiem tylko tyle, że nazywał się Deane, że przybył do hotelu Chancellor w poniedziałek popołudniu i że w nocy z poniedziałku na wtorek wyszedł stamtąd, pragnąc się, prawdopodobnie, z kimś zobaczyć. Z tego wszystkiego wyciągnąłem wniosek, że tym kimś była właśnie pani! Deane tej nocy musiał się z panią widzieć. I jestem pewien, że widział się istotnie. W Southernstowe jest ktoś, kogo Deane zapytywał o drogę do willi pani. Było to w poniedziałek o północy. Punktualnie o dwunastej Deane udał się na ulicę Ogrodową! Tam musiał spotkać się z panią. Prawdopodobnie, przechodząc przez zarośla, rozdarł marynarkę i pani zapięła mu ją agrafką. Nie zaprzeczy pani, że tak właśnie było!

Pani Champernowne, ta energiczna, nieustraszona niewiasta, siedziała teraz w milczeniu, bębniąc palcami po biurku. Po chwili dopiero zdobyła się na wypowiedzenie słów kilku:

— Kto... kto wie o tem wszystkiem?

— Nikt! Żywej duszy o tem nie wspomniałem, proszę pani! Czy ma mnie pani za takiego głupca? Nikt o tem nie wie i nikt się nie dowie, dopóki sam nie zechcę zdradzić tej tajemnicy.

— A kogo Deane pytał o drogę do mego domu?

— To już moja rzecz, łaskawa pani! Radziłbym się nie pytać. Jeżeli pani na tem zależy, postaram się, aby człowiek ten milczał. Proszę się dokładnie zastanowić nad całą tą sytuacją. Powtarzam raz jeszcze, że ja tylko wiem o tem wszystkiem. Mellapont jest przekonany, że nieboszczyka śledził ktoś i zamordował go dla rabunku. Dla pani te mniemania policji są bezwarunkowo wygodniejsze. Ostrzegam jednak, że Mellapont podejrzewa, iż Deane znał tutaj, w mieście, kogoś, i że owej tragicznej nocy zamierzał tego kogoś odwiedzić. Mellapont uwziął się, że tę niewiadomą osobę za wszelką cenę musi zdemaskować! Przypuszczam jednak, że mu się to nie uda, bo nigdy nie natrafi na właściwy ślad. Ja jeden na ten ślad natrafiłem, oczywiście, dzięki owej nieszczęsnej agrafce! Jeżeli pani zechce, będę milczał, jak grób, a wówczas i pani nie będzie nic grozić. Nie pytam w tej chwili, co zaszło między panią i Jamesem Deane. Nie zależy mi na tem. Zaznaczam tylko, że mogę zaoszczędzić pani wielu przykrości. Stawiam jednak pewien warunek. Musi pani uczynić to, co ja zechcę, a przyrzekam, że o całej aferze nikt się nie dowie i z biegiem czasu morderstwo Jamesa Deane przejdzie w niepamięć!

Pani Champernowne przysłuchiwała się z uwagą słowom Johna Hackdale.

— A tamten człowiek? — zapytała nagle.

— Powiedziałem już, że jeżeli zechcę, będzie milczał, — odparł młodzieniec. — Pieniędzmi wszystko okupić można.

— Proszę mi powiedzieć, czego pan żąda? — wyszeptała.

Hackdale odetchnął głęboko i rozejrzał się uważnie po pokoju. Gdy zwrócił znowu spojrzenie na bladą twarz swej szefowej, sprawiał wrażenie człowieka, któremu sprawia prawdziwą satysfakcję myśl, że nadeszła wreszcie chwila, kiedy może swobodnie dyktować swe warunki.

— Tak, łaskawa pani, — odparł z uśmiechem. — Pracowałem uczciwie i zyskałem w pracy pani zaufanie. Teraz nadszedł czas, kiedy pani mnie wysłuchać musi. Dyrektor pani, pan Bywater, jest już człowiekiem starszym i należałaby mu się emerytura. Pragnąłbym zająć jego miejsce z pensją tysiąca funtów rocznie. Podpiszemy kontrakt na przeciąg dwóch lat. Uważam, że warunki moje nie są zbyt wygórowane, prawda?

Znowu rumieniec zaróżowił policzki pani Champernowne. Milczała, obserwując młodzieńca i bawiąc się nerwowo brylantowemi swemi pierścieniami, połyskującemi na palcach.

— Ile trzeba będzie tamtemu zapłacić? — zapytała po chwili.

— Paręset funtów zaspokoi go napewno, — odrzekł Hackdale poważnie. — Mnie pani wypłaci te pieniądze, a ja już tę sprawę załatwię.

Pani Champernowne wstała z fotela i, podszedłszy do żelaznej kasy, stojącej w rogu gabinetu, wyjęła sporą paczkę banknotów. Nie licząc ich, w milczeniu podała pieniądze Johnowi Hackdale. Bez słowa wróciła do biurka i, wyjąwszy z szuflady zwój dokumentów, skierowała się ku drzwiom.

— Zgłosi się pan do mnie w tej sprawie około pierwszej! — rzekła. — Teraz muszę być na konferencji.

W milczeniu opuściła gabinet, a Hackdale, uspokojony już, wrócił do przerwanych zajęć. Punktualnie o pierwszej zjawił się znowu w gabinecie swej szefowej. Pani Champernowne przyjechała właśnie przed chwilą z posiedzenia i, na widok wchodzącego młodzieńca, odłożyła papiery, które przeglądała przed chwilą.

— Hackdale, czy zechce pan być ze mną szczery? — zapytała.

— Leży to w moim interesie, łaskawa pani.

— Nic nie wiem o tem morderstwie, — ciągnęła dalej. — Nic nie wiem! Mimo wszystko, nie mam zamiaru przeczyć, że rozmawiałam z nieboszczykiem owej nocy. Wolałabym zachować to w tajemnicy. Czy jest pan pewny, że ten pański człowiek będzie milczał?

— Może pani być spokojna! Ani słowa nikomu nie piśnie. A czy u pani w domu nikt się nie domyśla?

— Napewno nie. Pan Deane spotkał mnie w ogrodzie i tam rozmawialiśmy chwilę. Mniejsza o to, o czem mówiliśmy. Teraz należy ważniejsze sprawy załatwić. Pragnę porozumieć się z panem co do podanych przez pana warunków, panie Hackdale. Niech pan siada. Otóż w najbliższej przyszłości zamierzam zostać żoną sir Reville Childerstone. Tego się pan nie spodziewał, prawda? Firma Champernowne przeistoczona zostanie w towarzystwo akcyjne, a pan obejmie stanowisko głównego dyrektora i sekretarza. Należy teraz tylko omówić szczegóły...

W doskonałym humorze Hackdale opuścił gabinet swej szefowej, udając się na obiad. Simmons, oczekujący już brata w pensjonacie, zauważył, że John był w jakimś dziwnym nastroju. Starszy Hackdale w milczeniu podszedł do kredensu i wyjął butelkę szampana.

— Jakaż to dzisiaj uroczystość, braciszku?— zapytał Simmons z uśmiechem.

— Nie pytaj lepiej, chłopcze! — zawołał John. — Spotkało mnie dzisiaj ogromne szczęście. Tymczasem jest to jeszcze tajemnicą, Sim, ale niezadługo dowiesz się o tem. Mam nadzieję stania się wreszcie bogatym człowiekiem!

— Cóż takiego zaszło?

Hackdale zaśmiał się głośno. Dzięki propozycji pani Champernowne ujrzał nagle przed sobą zupełnie nowe widoki na przyszłość.

— Nie mogę dokładnie powiedzieć, — rzekł po chwili. — Przypominasz sobie, że zawsze wierzyłem w moją szczęśliwą gwiazdę. Otóż gwiazda ta zajaśniała wreszcie. I tobie radzę, braciszku, abyś starał się, nawet w kancelarji Shelmore, więcej myśleć o własnej przyszłości. Chętnie zapłaciłbym nawet adwokatowi Shelmore, gdyby zechciał uczynić cię swym pomocnikiem i wykierować na samodzielnego prawnego obrońcę. Cóż ty na to, Sim?

Sim nie wierzył własnym uszom. Spojrzenie miał teraz utkwione w szklankach napełnionych szampanem. Obydwie szklanki stały na stole nietknięte. Roztkliwiła Simmonsa ta serdeczna uwaga brata.

— Wypijmy za pomyślność, John! — zawołał nagle. — Przykro mi tylko, że będzie cię ta moja karjera dużo kosztowała.

— Nie myśl o tem, chłopcze, — uśmiechnął się Hackdale. — Pieniądze na świecie nie dają szczęścia! Dążeniem mojem jest, abyś stał się niezależnym.

— A zatem, — zgodził się wreszcie Simmons, — jeszcze dzisiaj pomówię z Shelmore. Potarguję się z nim trochę.

— Potargujesz się? Jakto? — zdziwił się John.

— Będę się starać, aby wziął jak najmniej, — odparł Simmons z szelmowskim uśmiechem. — Zależy mi przecież najbardziej na tem, żeby ciebie to dużo nie kosztowało.

Hackdale skinął potakująco głową i począł pić szampan w milczeniu.

— Uczynisz, jak zechcesz, — rzekł po chwili. — Zostawiam ci zupełną swobodę działania.

— Możesz mi zaufać, — mruknął Simmons. — Dobrze znam tych młodych adwokatów!

Po skończonym obiedzie wrócił do kancelarji Shelmore, z głębokiem postanowieniem poruszenia dziś jeszcze tej sprawy. Jednakże w chwili, gdy zamierzał zapukać do gabinetu swego zwierzchnika, Shelmore wszedł do poczekalni i podszedł do biurka Simmonsa.

— Hackdale, — rzekł. — Była tu panna Pretty. To bardzo rozsądna niewiasta. Postanowiła działać na własną rękę. Energję jej należy podziwiać. Opowiadała mi, że odbyła dzisiaj poważną konferencję z inspektorem Mellapontem i postanowiła wyznaczyć nagrodę za odnalezienie mordercy swego opiekuna. Prosiła, abym kazał wydrukować odpowiedni plakat i rozlepić go na ulicach.

— Jaka nagroda została wyznaczona? — zapytał Simmons.

— Panna Pretty ofiaruje tysiąc funtów. — odparł Shelmore. — Jeżeli ta nagroda nie odniesie żadnego skutku, panna Pretty obowiązuje się podwoić tę sumę. Sądzę, że należałoby plakat ten oddać do druku?

— Jeżeli panna Pretty sobie tego życzy...

— Według mnie jest to tylko strata czasu i pieniędzy — uśmiechnął się Shelmore z powątpiewaniem. — W każdym razie niech pan idzie zaraz do drukarni Pembertona i wyda mu odpowiednie polecenia. Może znajdzie się wkrótce ktoś, kto rzuci jakieś światło na całą tę sprawę.

Zostawił na biurku Simmonsa wzór plakatu i wrócił do swego gabinetu. Gdy Simmons schodził ze schodów, na najniższem piętrze spotkał sir Reville Childerstone, któremu zakomunikował, że Shelmore oczekuje go w biurze i niewiadomo z jakich powodów przyśpieszył kroków, aby jak najszybciej załatwić sprawę wydrukowania i rozlepienia plakatów, ogłaszających nagrodę, zaofiarowaną przez pannę Pretty.

(D. c. n.)

ROZRYWKI UMYSŁOWE

WIELKI KONKURS ZADANIOWY „7 DNI"

Począwszy od 12-go N-ru rozpoczęliśmy wielki

wiosenny konkurs zadaniowy.

Konkurs obejmuje zadania, które zostaną umieszczone w n-rach od 12 do 18-go włącznie „7 Dni".

W każdym n-rze zamieszczamy kupon, oznaczony kolejnym n-rem. W terminie 10-dniowym po ukazaniu się ostatniego zadania konkursowego należy nadesłać wszystkie rozwiązania wraz z kuponami listem poleconym p. a. redakcji. W dniu, o którym nastąpi zawiadomienie, w lokalu wydawnictwa odbędzie się publiczne losowanie nagród.

Nagrody

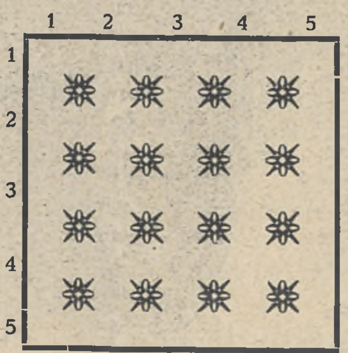
Wśród Czytelników, którzy rozwiążą trafnie wszystkie zadania konkursowe, zostaną rozlosowane

cenne nagrody w liczbie sześciu.

Szczegółowy spis nagród zostanie ogłoszony w Nr. 16-tym. Oprócz tych nagród przewiduje się *szereg nagród dodatkowych, w postaci książek beletrystycznych, oraz nagrody pocieszenia.*

CZWARTE ZADANIE KONKURSOWE
KRZYŻÓWKA MAGICZNA
ułożyła „Iskierka".

W daną figurę wpisać 5 wyrazów dziewięcioliterowych, o podanem znaczeniu, któreby się czytały tak pionowo, jak i poziomo.



Znaczenie wyrazów:

1. Minerał skaleń
2. Szklaneczka do napojów (np. do wina, miodu)
3. Tytuł tygodnika ilustrowanego, wychodzącego w Warszawie
4. Przedsłowie, wstęp, prolog
5. Materjały, utkane na warsztatach tkackich (narzędnik).

Poza konkursem



Odgadnąć, kogo przedstawia zdjęcie. Za rozwiązanie 3 książki do rozlosowania. Termin — 10 dni.

Konkurs zadaniowy „7 Dni"

KUPON Nr. 4

Cicho było podczas świąt, a jednak...

W Rumunji, w Wielką Sobotę, wybuchło przesilenie rządowe. Gabinet Mironescu ustąpił, przyczem nastąpił fakt dość znamienny — nie mało przyczyniły się do tego ataki przeciw jednemu z członków rządu, min. Manoilescu, będącemu osobą najbliższą króla. Monarcha zawezwał telegraficznie amb. Titulescu z Londynu, pragnąc mu powierzyć misję stworzenia nowego rządu.

Niemałą sensację wywołała wiadomość o powołaniu dr. Henryka Sahma na stanowisko „obergürmeistra" Berlina. Nominacja obywatela Wolnego Miasta na stanowisko prezydenta stolicy Rzeszy daje wiele do myślenia. Czyżby Niemcy uważali Gdańsk za jedno z miast Rzeszy?...

Donoszą z Londynu, iż Bruening i Curtius mieliby udać się wskutek zaproszenia Hendersona do Londynu. „Przyjacielska" ta wizyta miałaby się odbyć przy udziale innego gościa—Brianda.

W Wielkim Tygodniu p. min. Zaleski złożył publiczne oświadczenie, iż pertraktacje w sprawie udziału Francji w dokończeniu linji kolejowej Śląsk — Gdynia zostały uwieńczone pomyślnym wynikiem.

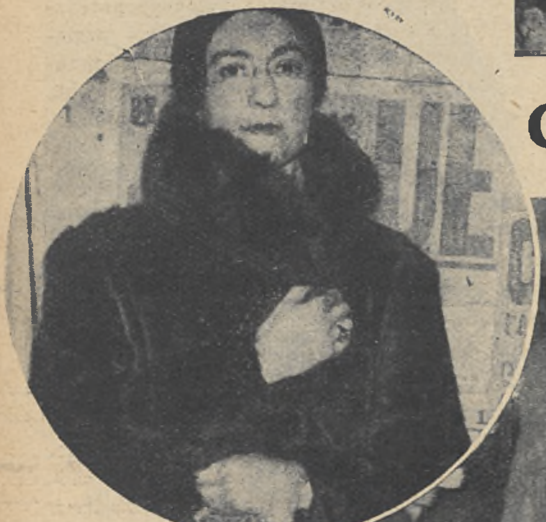
A wreszcie wiadomość, obchodząca nietylko sfery radjosłuchaczy, ale najszersze rzesze społeczeństwa—o tem, że Polskie Radjo i dyrekcja radja niemieckiego potwierdziły postanowienie, zawarte przez Międzynarodową Unję (6.VII.1926) o wzajemnej nieagresji w sprawach polityki i zagadnień narodowościowych.





Tradycyjne jarmarki paryskie, poświęcone szynce i żelastwu (co za zestawienie!), ściągają tłumy klijentów, wśród których przeważają... gapie, interesujący się jedynie kramami rozrywkowemi i słodyczami.

Co słychać na świecie





Ukazanie się na scenie paryskiej sztuki, osnutej na sprawie Dreyfusa, wywoływało bezustanne zamieszki, wobec czego zdjęto ją z programu (u góry w medaljonie p. Esterhazy, córka jednego z głównych bohaterów sprawy)



Alain Gerbault wciąż podróżuje. Przybył mu od niedawna jeszcze jeden sposób lokomocji — aeroplan, na którym odbywa długie wycieczki. Przed paroma dniami powrócił z lotu ponad Saharą.

JAN PIOTROWSKI.

OSTATNIA FALA

6. Wiosna na zamówienie

Nie wiem, doprawdy, co będzie z naszą dzisiejszą pogawędką, bo na tle wiosny kalendarzowej zrobiło mi się całkiem zielono w głowie. Co tu jednak dziwić się zasuszonemu w mieście „falarzowi", że już w marcu, zbudzony pierwszemi cieplejszemi podmuchami wiatru i skrawkami czystego błękitu, oszalał w kwietniu na dobre, i pełen rozbrykanych, jak młode źrebięta myśli i zamiarów, radby wyrwać się na pola, łąki, lasy i stawy! Na różowe rzodkiewki o figlarnych białych ogonkach, na „niezbierane" zsiadłe mleko prosto od krowy, na melancholijnie blade szparagi i na radośnie zielone ogórki... Przedewszystkiem zaś — na młode szaleństwo prawdziwej wsi, na zapamiętałą pijatykę słoneczną, na chłopięce wytarzanie się w soczystej trawie i na tę radość — radość ucieczki z miasta...

Eheu! Helas! O Weh! Niestety! „Wiatr za szybami groźnie dmie", padają śniegi, grady i deszcze... Tyle wody, tyle wody... Zupełnie, jak w moich „Ostatnich Falach"...

Nie narzekajmy jednak na te niebieskie potopy. Kto wie? Może mają one jakąś doniosłą misję do spełnienia? Są przecież gdzieś na świecie dziwne rośliny, które po wyrwaniu z ziemi wyglądają jak wyschłe i brzydkie badyle, lecz po zanurzeniu korzonków w wodzie odzyskują — nawet po latach! — dawną świeżą zieloność, rozprężają, rozwijają listeczki i na cześć swego zmartwychwstania wydają piękne i wonne kwiaty...

Kto wie — może i my mamy w sobie coś z tych suchych badylów?.. .Przecież, jak to zapisała piękna legenda antyczna, jeden z herosów helleńskich, kiedy osłabł w walce na śmierć i na życie z przemożnym przeciwnikiem, rzucił się na ziemię, zespolił się z nią synowskim uściskiem, i powstał odrodzony, aby zwyciężyć. A czemże jesteśmy, jeśli nie Synami Ziemi?... I czy nie w tem właśnie leży tajemnica wiosennego szału serc ludzkich, których bicie prawdziwą wiosnę wyprzedza?...

Niestety! Piękna pogoda wiosenna jest jak piękna kobieta. Przedewszystkiem — nie lubi wstawać wcześnie. Jeśli zaś stary tetryk, kalendarz, odważy się przypomnieć jej o tem, że wobec oficjalnego obwieszczenia o początku wiosny winna już przed godziną piątą opuszczać swe łoże — ziewa, przeciąga się, narzeka i kaprysi przynajmniej do południa, aby dopiero po radjowym sygnale czasu — i to nie codzień! — wychylić rozczochraną główkę z poza łzawych chmurek deszczowych, gradowych, a nawet i śnieżnych doniedawna — i słońcem uśmiechu, lub, jeśli kto woli, uśmiechem słońca obdarzyć ziemski padół...

Zdarzyło się coś podobnego kilka dni temu. Pani pogoda wiosenna wstała prawą nóżką ze swych puchowych obłoków i szczodrze, a nawet rozrzutnie, jak na młodą królewnę przystało, zasypała ziemię swemi wiosennemi gościńcami. Nic też dziwnego, że przez te kilka godzin nasza Rzeczypospolita, podwójnie przez to „Najjaśniejsza", zmieniła się w jeden olbrzymi ogród ludzkich słoneczników, zwracających swe stęsknione oblicza w kierunku błogosławionej i błogosławiącej tarczy słonecznej...

Nad wyległemi na ulice miasta tłumami zadyndały wesolutkie, kolorowe grona lekkich baloników. Z ust nędzarzy, podpierających brudne kamienie w okolicach Dworca Głównego, popłynęły słowicze trele, wyśpiewywane na małych świstawkach. Dziarsko zaśpiewały mechaniczne pieski i co kilkadziesiąt korków wypadał w tłum okrzyk:

— Laski! Trzcinowe, bambusowe... Laski!

Zabłądziłem gdzieś aż na kraniec miasta, poczem wsiadłem do tramwaju. Ścisk, tłok i zaduch, jak zwyczajnie. Zziajany, nawpół przytomny konduktor przedzierał się przez ciżbę ludzką i dygocącemi ze zdenerwowania palcami rozdawał bilety. Ktoś — komuś czynił zgryźliwe i cierpkie uwagi — a wszyscy, jakby zapominając o wiośnie, byli skrzywieni, jak środa na piątek. Słowem — jak to u nas...

Przy Dworcu Głównym spora część pasażerów wysiadła, więc zrobiło się trochę luźniej, choć wszystkie miejsca siedzące były nadal zajęte. Jedno z nich przypadło w udziale jakiemuś wytwornemu porucznikowi, rozczytanemu w wielkiej płachcie gazety.

Na następnym przystanku wsiadły do naszego wozu dwie kobiety. Pierwsza — olśniewająco piękna — i świadoma tej piękności. Wyniosła, swobodna, pewna siebie. Ubrana bogato, lecz gustownie. Druga — jakieś wymizerowane i zahukane przez los i ludzi biedactwo, w komicznym wyszarzanym paltociku, ze staromodnem „wroniem gniazdem" na głowie. Uginając się pod ciężarem jakiegoś tobołka stanęła potulnie w przejściu, opuszczając nadół oczy i twarz, pozbawioną nawet śladów urody — malutka, nikła, szara, pokorna, jakby przepraszając całą swą postawą za to, że jest, że żyje, że miejsce zajmuje, że błąka się po świecie i ośmiela ocierać się o modne i drogie stroje swych nieznanych sióstr — szczęśliwych, pięknych, zamożnych, rozkapryszonych...

Tymczasem pani o władczem spojrzeniu zwróciła wzrok w stronę zaczytanego porucznika. Właśnie oderwał oczy od gazety i rozglądał się dookoła. Kiedy schwytała jego spojrzenie, przesłała mu cień zdawkowego uśmiechu, jakby zapłatę za miejsce siedzące, które przecież nie omieszka jej odstąpić.

Wytworny porucznik dostrzegł i zrozumiał uśmieszek pięknej i strojnej pani. Już składał gazetę — gdy oczy jego padły na ciężki pakunek stojącej opodal brzydkiej kobiety — na jej czerwono - sine ręce bez rękawiczek, na zrudziały kapelusz i na twarz, pełną rezygnacji.

Minęła jedna sekunda — i porucznik powstał, ustępując miejsce nieładnej pani w szarym paltociku.

Na dźwięk jego głosu drgnęła i cofnęła się, spłoszona. Zrozumiawszy wreszcie, o co chodzi, zarumieniła się, potem znów przybladła i, onieśmielona, chciała uciekać. Lecz młodzieniec ujął ją łagodnie za ramię i, jak siostrę najdroższą, posadził na ławce.

Kiedy pod piorunującem i sarkastycznem spojrzeniem strojnej damy zajęła miejsce, przez kilka chwil trwała z oczami, wbitemi w kolana. Lecz nagle, w tych oddawna zagasłych oczach, na bladych ustach i na szarych policzkach rozkwitły, zajaśniały, zapłonęły — pierwiosnki uśmiechów.

Oto kochani Czytelnicy, w jaki to nieoczekiwany sposób objawiła mi się wiosna w tramwaju warszawskim...

Ze względu na okres świąteczny, numer niniejszy ukazuje się w rozmiarze nieco zredukowanym. W najbliższym czasie ogłosimy zapowiedź kilku sensacyjnych numerów specjalnych

Jak humoryści przyjęli modę przed 20 laty



— *Tak, proszę panią, jupe culotte jest idealnym strojem dla panny młodej. A jakże również odpowiada programowi...*



— *Nie bardzo praktyczna jest dzisiejsza moda, ale na szczęście, dzięki aeroplanowi, wkrótce już przestaniemy chodzić...*

Domorosła francuszczyzna

Znałem takiego pana, który, przyjechawszy do Szwecji, a nie umiejąc ani słowa w języku Gustawa Wazy, dawał sobie doskonale radę.

Tak. Podczas, gdy jego towarzysze usiłowali porozumiewać się za pomocą łamanej niemczyzny czy francuzczyzny (dla przeciętnego Szweda równie niezrozumiałych, jak język polski), pan ów, mówiąc tylko po polsku, doszedł do wspaniałych rezultatów. Jego „ile kosztuje", poparte odpowiednim gestem, było dla pięknej Szwedki, stojącej za ladą sklepu, równie, a może i lepiej zrozumiałe od wszystkich „*was kostet*" i „*keskesakut*".

A teraz odwrotna strona medalu. W kraju uważamy, że należy cudzoziemcom uprzyjemnić i ułatwić pobyt, dając im wszędzie wskazówki w ich własnym języku. Nie będę roztrząsał w tej chwili zagadnienia, czy to źle, czy dobrze. Czy nie należałoby może, wzorem krajów anglosaskich, skłonić raczej cudzoziemców do studjowania języka miejscowego i miejscowych obyczajów. Ale mniejsza z tem. Powiedzmy, że dla wygody turystów, dla ich lepszego informowania, posługujemy się, dajmy na to, językiem francuskim.

I oto zobaczmy, jak ta nasza półoficjalna, a często nawet oficjalna, francuzczyzna wygląda:

A) Menu w restauracji: Zupa rakowa — Soupe de cancer. Bitki cielęce — Bataille de veau (biedne, które się same ze sobą bije). Pomidory faszerowane — Pomidores farceurs (sic).

B) Przewodnik po okolicach Warszawy: W tekście polskim zapewne było tak: W niedzielę ludność wylega gromadnie pod miasto. Co tłomacz podał w nietyle ścisłej, ile w humorystycznej formie: Le dimanche, le peuple pond en masse sous la ville (re-sic).

Że pod Warszawą istnieją stare lochy z czasów szwedzkich, wiemy, Ale że ludność w nich „wylęga" — i co? *ça c'est trop fort.* Złoty medal temu, kto wylągł takie arcydzieło ku uciesze cudzoziemców.

Widoki Polski w wagonach kolejowych: *Le Monument du prince de Poniatowski* (co za bogactwo „article'ów"), Cracovie: *Le Barbacan* („la barbacane" w Polsce jest widocznie rodzaju męskiego). *La Lycée* de Krzemieniec (to prawdopodobnie jako kompensata za zmianę płci barbakanu). I tak dalej. Czy rzeczywiście w naszem ministerstwie komunikacji niema ani jednego człowieka, któryby potrafił bez błędu ułożyć napisy pod fotografjami? Mała rzecz, a wstyd.

D) Publikacje oficjalne: I tu język francuski pozostawia wiele do życzenia. Naogół (poza nielicznemi wyjątkami) publikacje te nie są pisane po francusku. Pisane są po polsku — francuskimi słowami. Naprzykład „zbrojenia ukryte", to wcale nie będzie „armements cachés", a może być „sécrets", albo „clandestins".

Przypomina to, jako żywo ową panią (znaną zresztą tłomaczkę), która, tłomacząc z francuskiego na polski książkę jednego z poczytniejszych pisarzy, zrobiła z aspiranta marynarki — ochotnika (sic), a z „sonnerie du soir" — dzwonienie wieczorne. Jeszcze krzynę, a „battre la générale" przetłomaczyłaby przez „bić generałową".

I bić należałoby może — ale tych, co tak tłomaczą. Bowiem, jeśli mamy tłomaczyć źle i narażać się na śmieszność, mówiąc na szatnię — „garderobe" zamiast „vestiaire", a na pałacyk — „chateau" zamiast „hotel" czy „pavillon" — to lepiej pozostańmy już przy naszym starym polskim języku.

Jim.



— *Czy nie mógłby mi pan pożyczyć tę mumję jako model dla krawca?..*

— *No, ta przynajmniej zadem bić nie będzie!...*



Jaki efekt wywołało na turff'ie ukazanie się pierwszych „kilocistek".

Tydzień taniej książki

Zastój na rynku księgarskim ożywił nieco doroczny tydzień taniej książki. (W samej rzeczy „tydzień" przeciągnięto o kilka dni). Publiczność, która wiecznie utyskuje na drożyznę książek polskich, miała możność zaopatrzenia się w interesującą lekturę niemal za grosze, ceny bowiem zostały zredukowane do minimum. Stwierdzić jednak należy przy sposobności, iż ruch był stosunkowo dość nikły. Kryzys?... Oczywiście. Ogólny kryzys ekonomiczny zmniejsza zdolność nabywczą szerokich mas, lecz braku zainteresowania do poważniejszej lektury tłomaczyć tem nie należy. Publiczność nasza czytać nie lubi. Jedynie bibuła o treści sensacyjnej może liczyć na pewien sukces. Zjawisko to jest ogólnie znane i każdy dzień, niestety, pogłębia ten straszny kryzys myśli.

*

Juljan Ejsmond — W słońcu — Wybór poezyj. Wydanie pośmiertne. — Czarnolas. — Nakł. Księgarni św. Wojciecha. — Poznań, 1931.

Z radością wziąłem do ręki ten cudny zbiorek poezyj. Dźwięczne, kojące, przesycone żarem miłości do wszystkiego, co ziemskie i z zaświatów — liryki te zawierają czar niewysłowiony, tembardziej dla nas drogi, że przypominają osobę nieodżałowanego poety, którego los okrutny nam odebrał. Cieszymy się z każdej rzeczy, która jego radowała—upajamy się wonią kwiecia, poszum borów nas kołysze, zapatrzeni w „wielkość błękitu" niebios zapominamy o troskach codziennego dnia, szczebiot ptasząt nas rozwesela — miłujemy świat. I jeśli słuszną jest uwaga, iż śmierć ukazuje nimb wielkości, który, niewidoczny za życia, drżał świetliście nad skroniami człowieka, to właśnie w stosunku do zmarłego piewcy radości życia, Juljana Ejsmonda, występuje ona z całą wyrazistością. Czemuż go niema wśród nas?! Czemuż zamilkła dźwięczna jego lutnia, na której wygrywał swe cudne hymny i uczył nas z mądrością pogodną kroczyć przez życie... Tomik tych liryk wertować można bez końca. Rozstać się z nim trudno, powtórzyć wrażenia, które wywołuje — niepodobna.

Życie Polskie.

Bieżący numer tego niezwykle ciekawego i żywego miesięcznika przynosi nam, jak zwykle, mnóstwo aktualnego materjału. O reformie konstytucji traktują artykuły St. Radzkiego i senatora dr. Błędowskiego, senator prof. Krzemieniecki rozważa sprawę umowy gospodarczej z Niemcami, o nastrojach opinji francuskiej dowiadujemy się z interesującej korespondencji Kukucza, przegląd aktualnych wydarzeń zawarty jest w artykule J. R. Na oddzielne uwzględnienie zasługuje artykuł red. Wł. L. Everta p. t. „Jej wysokość..." poświęcony ciekawemu sporowi, jaki toczy się na łamach prasy na temat akademji literatury i całokształtu spraw piśmiennictwa, a zwłaszcza o ustosunkowaniu się wzajemnem literatury do prasy i literatów do dziennikarstwa. Zastanawiając się nad smutnem zjawiskiem ucieczki literatów od dziennikarstwa, tłomaczącego się upartem, doktrynerskiem stanowiskiem przedstawicieli „chmurności i górności" — autor podnosi niedoceniane zasługi publicystów, których praca twórcza w kierunku kształtowania i uszlachetniania ducha, jest nie mniej ważka, a kto wie, czy nie bardziej płodna od pracy literatów. I dlatego — konkluduje autor — wydaje mu się słusznem,

„iż koncepcje nagród i akademji, aby istotnie służyć swym zadaniom, winny uwzględniać całokształt piśmiennictwa, całą domenę słowa i twórczej myśli, która nie mieści się dzisiaj bez reszty, w ramach literatury pięknej. I dla tego wydaje mi się, że zarówno w akademji, jak i regestrach kandydatów do nagród literackich, winni znaleźć swe miejsce publicyści i dziennikarze. Bowiem rola ich jest — właśnie w dziedzinie piśmiennictwa, — nie mniejszą, jeżeli nie większą, od roli literatury. I dlatego wydaje mi się, iż zadaniem literatów, jest wkroczyć w dziedzinę współczesnego słowa, stanąć u warsztatu codziennej strawy piśmienniczej, ale stanąć, jako najinteligentniejszy robotnik, jako robotnik artysta, a nie jako wzgardliwy, wyniosły, mało użyteczny pan z wyniosłych szczytów. Dalsze odseparowywanie się literatury od codziennego piśmiennictwa, tworzenie w olbrzymich kościołach słowa, własnych, mało uczęszczanych, kapliczek, rzekomo istotnego kultu, szkodzi piśmiennictwu, a zabija literaturę.

Wejście literatury do dziennikarstwa zależy od literatów. Będzie ono z pożytkiem i dla dziennikarstwa, i dla literatury, i dla literatów, i dla dziennikarzy, ale nadewszystko dla poziomu czytelnictwa".

Życie Szkoły — miesięcznik poświęcony życiu szkolnemu gimn. im. Zamoyjskiego i sprawom „Unji" (zrzeszenia b. wychowanków).

W artykule, który niedawno ukazał się na naszych łamach, „O kłopotach młodych redaktorów", wspominaliśmy o wdzięcznem tem pisemku, które szczęśliwsze jest od innych, a to dzięki nawiązaniu kontaktu pomiędzy młodymi a b. wychowankami. Przedstawicielem tych ostatnich jest wytrawny pisarz i redaktor, kol. A. Bogusławski, który, począwszy od b. roku, objął ogólne, w organie młodych naszych kolegów, kierownictwo literackie. Numer bieżący (7) „Życia Szkoły" zawiera wiele cennego materjału. Obok artykułów — kilka utworów poetyckich i beletrystycznych, wśród których miejsce znajduja i rzeczy najmłodszych — niżej IV-ej klasy. Na okrasę numeru — kilka przepięknych utworów z teki pośmiertnej Stanisława Długosza.





M. ZOSZCZENKO.

Można żyć

Piec mamy bardzo kiepski. Cała rodzina zawsze mi się przez ten piec zaczadza.

A choleny Żagt *) reperacji czynić nie chce. Do kolejnego sprzeniewierzenia.

Wczoraj oglądali ten mój piec. Szybry sprawdzali. Dawali tam nura głową.

— Nic z tego — powiadają. — Można żyć.

— Towarzysze — powiadam — wstyd, doprawdy, takie wyrazy mówić: można żyć. Zawsze zaczadzamy się przez ten wasz piec. Wczoraj nawet kot się zaczadził. Mdliło go wczoraj przy kuble. A wy powiadacie — można żyć.

Cholerny Żagt powiada:

— W takim razie — powiada — zrobimy zaraz próbę i zobaczymy, czy zaczadzimy się — udało wam się — naprawimy. Jak się nie zaczadzimy — przeprosimy za fatygę.

Napaliliśmy w piecu. Ulokowaliśmy się naokoło.

Siedzimy. Wąchamy.

Tu, ot, wedle szybru, siadł prezes, tu — sekretarz, a ot tu, na mojem łóżku — skarbnik.

Wkrótce, oczywiście, zaczął się czad po pokoju unosić.

Prezes powąchał i powiada:

— Nic z tego. Nie odczuwa się. Idzie ciepły luft i tyle.

Skarbnik, pies, powiada:

— Całkiem klawa atmosfera. I wąchać ją można. Głowa przez to nie osłabia się. W mojem, — powiada — mieszkaniu atmosfera gorzej śmierdzi i ja — powiada — darmo nie jęczę. A tu zupełnie równy luft.

Ja powiadam:

— Dajcież spokój, gdzież on jest równy? O, jak gaz leci.

Prezes powiada:

— Zawołajcie kota. Jak kot będzie cicho siedział, znaczy się — nic niema. Zwierzę jest zawsze w tych rzeczach bezinteresowne. Na nie możemy śmiało się spuścić.

Przychodzi kot. Siada na łóżku. Siedzi cicho. Prosta rzecz, że cicho — on już do czadu zwyczajny.

— Nic z tego — powiada prezes — prosimy wybaczyć.

Nagle skarbnik kiwnął się na łóżku i powiada:

— Muszę, wiecie, już iść w pilnej sprawie.

A sam stoi zielony i aż się na nogach chwieje.

Prezes powiada:

— Zaraz wszyscy pójdziemy.

I sam dochodzi do okna i w szparę dyszy.

Odciągnąłem go od okna:

— Tak — powiadam — nie można ekspertyzy odbywać.

On powiada:

— Proszę bardzo. Mogę odejść. Wasze powietrze jest mi całkiem pożyteczne. Naturalne powietrze, nadające się do zdrowia. Remontu wam nie mogę robić. Piec jest normalny.

A za pół godziny, jak tego właśnie prezesa położyli na nosze, a potem ruszyli z noszami do karetki pogotowia, rozmówiłem się z nim jeszcze raz.

Powiadam:

— No i co?

— Nic — powiada — nie będzie remontu. Można żyć.

I nie naprawili.

No i co im zrobić? Przyzwyczajam się. Człowiek — to nie pchła, do wszystkiego może się przyzwyczaić.

Tłom. Ali.

*) Komitet, wybierany przez lokatorów, a sprawujący administrację domu (domy nie stanowią własności prywatnej). *Przyp. tłom.*

Modne kapelusze wiosenne







Kapelusze, przygotowane na wiosnę i lato przez paryskich dyktatorów mody, nie stanowią, jak w sezonach ubiegłych, dopełnienia sukni czy okrycia. Są impertynencko niezależne, usiłują być dominującą nutą w toaletowej symfonji. Górą akcje kapeluszniczek!

Wielka panuje rozmaitość wśród kapeluszy wiosennych. Modne są trikorny, robione z najróżnorodniejszych odmian filcu i słomy. Trikorny te noszone są zawadjacko, na bakier, przechylone z lewa na prawo. Bywają nieraz dowcipne, jak uśmiech na portrecie z osiemnastego wieku i pełne efronterji, jak paziowie z ludwikowskiego Wersalu. Trikorny nie są łatwe do noszenia, wymagają cienkich, rasowych rysów twarzy i subtelnego wyrazu. Lekką ich kanciastość często zmiękcza i łagodzi leciuchna mgiełka woalki, opuszczonej na oczy lub odrzuconej do tyłu, tworzącej dokoła twarzy tiulową aureolę.

Następnie modne są kapelusze o rondach obszernych i cienistych, najawantażowniejsze ze wszystkich kapeluszy na świecie. Używa się na nie najszlachetniejszych gatunków egzotycznych słomek. Niektóre z tych słomek są tak cienkie, że aż przejrzyste, rzucające na twarz miękki, przezroczysty cień.

Na użytek mało pretensjonalny, na letnie poranki w mieście i na wsi, do wesołych letnich sukienek z jasnego surowego jedwabiu i wzorzystego kretonu, będzie się nosiło malownicze pasterki z grubych słomek (des pailles rustiques), które ktoś dowcipny nazwał „subretkami współczesnego, letniego repertuaru".

Do strojnych toalet wizytowych, na proszone five o'clocki i lunch'e, nosić się będzie mniejsze fasoniki, wykonane z słomek dystyngowanie matowych, strojnych w strusie pióra, jak komedjowe markizy.

Do kostjumów spacerowych i do płaszczyków — angielskie koszyki, odsłaniające czoło i włosy; drapowane turbany i troczki z trykotu tkanego słomą i słomek miękkich, dzierganych na drutach jak jersey'e.

Przeważnie kapelusze noszą się zsunięte na tył głowy, ale są i takie, które się nasuwa zdecydowanie na czoło, tuż nad prawem okiem. Zdarzają się fasony, budzące niepokojące wrażenie jakiegoś fatalnego nieporozumienia. Zsunięte na tył głowy, odsłaniają całe czoło i znaczną część włosów, zakrywając przy tem szyję aż po sam kark.

Albo, zdarte do góry, ze strony prawej, zasłaniają za to szczelnie cały lewy policzek. Główki kapeluszy są naogół bardzo płytkie, ledwie obejmują głowę. Dotychczasowa oszczędność i dyskrecja przybrań zdaje się mieć ku końcowi. Reboux demonstracyjnie ochrzcił swą wiosenną kolekcję kapeluszy: „la mode gonie", ogłaszając miastu i światu, że zrywa ostatecznie z modą przesadnej dystynkcji i skromności.

Puszyste egrety, paradyzy i cross'y powróciły z długoletniego wygnania i zdobią wiele wiosennych i letnich modeli. Dużo widzi się również piórek fantazyjnych, barwionych i woskowanych. Sama słoma kapeluszy bywa inkrustowana słomianą koronką, haftowana, lub zcerowywana z różnorodnych kawałków, jak mozaika. Kolory wiosennych kapeluszy są równie śmiałe, jak ich fasony i często stanowią jaskrawy kontrast z barwą sukni i okrycia.

Na niektórych ostatnich modelach kapeluszy nieraz widzimy duże kokardy z dwu i trzykolorowych wstążek, pęki kwiatów i piór. Na kapelusikach sportowych — angielskie kokardki z białej piki, nadal stanowiącej ulubione przybranie sukien typu sportowego. Patou umieszcza na czarnym, słomianym trikornie pióra strusie, koralowe i błękitne.

Po dokładnem przyjrzeniu się, stwierdzamy, że to nie żadne pióra, tylko sztywny batyst, pocięty i zafryzowany tak misternie.

Pomysłowość paryskich grand faiseur'ów zdaje się nie mieć granic tej wiosny. Usiłujmy za nimi nadążyć, ale... z rozwagą, moje panie. Z rozwagą.

Well.

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE — I WILNIE

Prenumerata krajowa wraz z przesyłką: kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. Prenumerata zagraniczna: kwartalnie 8 zł., półrocznie 15.50 zł., rocznie 30 zł Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałkowska 99. Tel. 525-85. Konto PKO 19-447. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł 600, mniejsze podług ilości milimetrów, 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy Klisze ogłoszeniowe, zajmujące więcej, niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI. Wydawca: „PRASA ILUSTROWANA" S-ka z ogr. odp

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 717-98 i 504-46.